Rok 4. Kraków, dnia 5 i 20 Marca 1884 r. Nr. 3 i 4

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

Księgarnia K. Bartoszewicza w Krakowie

wydała oraz otrzymała na skład główny następujące dzieła:

Anczyc Wł. Dzieje narodu węgierskiego popularnie opisane z rycin. —·40

Asnyk. (E-ly) Cola Rienzi; dramat historyczny z XIV. wieku w 5-ciu aktach oryginalnie napisany cena 2 złr. zniżona 1·—

— Trubadurowie. Kraków 1872. —·20

Bajron. Don-Żuan w haremie, tłum. Edward Porębowicz. Kraków 1882 —·30

Bartoszewicz Juljan. Historya literatury polskiéj, wydanie 2 pomnożone i tańsze. — Kraków 1878. 2 tomy 7·—

— Historya pierwotna Polski, pierwsze wydanie z rękopisu 4-ty. Kraków 1879. 14·—

— Szkice z czasów saskich. Wydanie 1. Kraków 1880. Treść:

Kropińscy, obrazek sejmikowego życia. Grandmuszkieterowie Augusta II. Kampement w Warszawie. 1732. Sprawa Karwickiego. Pan Bystry. Dzieje niewiasty polskiej. Koronacje obrazów świętych. Ignacy Bohusz, późn. sekretarz konfed. Barskiej. Karol XII. w Warszawie w roku 1702. Warszawa w r. 1705. Ks. Wincenty Santini, nuncyusz w Polsce. 1721—1728. Systemat Karwickiego reformy Rzeczypospolitej w roku 1706. 3·50

— Studja historyczne i literackie. Wydanie 1-sze. Kraków 1881.

Treść tomu 1-go: Helena Iwanówna, żona Aleksandra Jagielończyka. Stary poemat o Gdańsku. Krystyna Poniatowska (przyczynek do dziejów braci Czeskich w Polsce). O nuncjuszach w Polsce. O dochodach króla Stanisława Augusta. O przedrukowaniu Voluminów Legum 1732 r. O nowem wydaniu sag skandynawskich. Kniaź Kurbski na Wołyniu. Summy neapolitańskie. Kronika pałacu Krasińskich. Podróż Regnarda po Polsce. O bibliji reimskiej. Mikołaj Jemiołowski jako historyk. 3·50

Treść tomu IIgo: Elekcja Michała Korybuta. Księga kapturów rzeczyckich. O kasztelanie brzeskim Matuszewiczu jako poecie. Chazarowie i Połowcy. Ks. Wojciech z Konojad Dembołęcki. Starania domu Rakuskiego w XVI. wieku dla pozyskania korony polskiej. Kasztelanja Połaniecka Kochanowskiego. Poselstwo księdza Jędrzeja Załuskiego do Portugalji 1674—1676. Podróż bezimiennego księdza francuzkiego do Polski za Jana Sobieskiego. Konstanty Świdziński i jego wieczysta fundacja. Hetmaństwo. Teatyni w Warszawie. 3.50

Treść tomu III-go: Warszawa i Kraków, jako stolice. Jan S. Jabłonowski i jego dzieło: Skrupuł bez skrupułu. Prawo o elekcji. Bitwa pod Beresteczkiem. Księga protokółów franciszkańskich prowincji ruskiej. Mazowsze-Mazury. Wawrzyniec Słupski Bandura, kandydat do korony polskiej. Co znaczyła i gdzie była Ukraina? Anna z Sapiehów Jabłonowska. Czy Przecław Lanckoroński był hetmanem Kozaczyzny. Kniaziowie i Książęta w Polsce. 3·50

Cena 3-ch tomów razem 10.50

Bartoszewicz Juljan. Anna Jagiellonka, 2 tomy razem Kraków 1882. 3.50

— Szkic dziejów kościoła ruskiego w Polsce, wydanie 1-e Kraków 1880. 4·—

— Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy, Wojewody Mińskiego. Warszawa 1862. 2·50

— Kniaź i Książę. Kraków 1876. —·60

— Zamek Bialski, historya miasteczka, obrazy z życia magnatów. 1881. Lwów 2·25

Bartoszewicz K. Małpa - człowiek, nieznana satyra z XVIII. w. (odbitka z Ateneum) —·50

— Życie Jana Kochanowskiego, treściwie zebrane Kraków 1883. —·20

— Dwadzieścia kronik Przeglądu literackiego i artystycznego. Kraków 1883. —·80

Bełcikowski. Wieczór w Czarnolesiu, scena liryczna Kraków 1882. —·20

Beranger. Piosnki w tłumaczeniu L. Kozłowskiego (w druku).

Bodzantowicz. Rodzina konfederatów. Puławscy. Lwów. 1869, cena 3 złr. zniż. na 1·50

Buliński. Historya kościoła polskiego 3 tomy. Kraków 1873. cena 12·—

Buszczyński. Ameryka i Europa, studium historyczne i finansowe z krytycznym na sprawy społeczne poglądem. Kraków 1876. cena 5 złr. zniż. na 2·50

— Sądy cudzoziemców o Polsce i jej walkach z zaborcami. Kraków 1883. —·50

Chołoniewski ks. Pisma pośmiertne 2 tomy. Lipsk 1854 cena 5 złr. 40 ct. zniż. na 1·20

Dzieduszycka Anastazja. Listy nauczycielki. Kraków 1883. 1·—

Dzieduszycki Izydor Dr. Patrjotyzm w Polsce. Kraków 1882 i 1883, 2 części 1·—

Dzieduszycki hr. Maurycy. Żywot Wacława Hieronima Sierakowskiego arcybisk. lwowskiego. Kraków. 1868 cena 2 złr. 40 ct. zniż. na—·80

Flaubert Gustaw. Córa Hamilkara (Salambo). Kraków 1867 (na wyczerpaniu) cena 2 zlr. 50 ct. zniż na 1·—

Grudziński St. Idealista, poemat fantastyczny. Kraków 1871 cena 60 ct. zniż. na—·20

Heisig. Przewodnik do rysunku cyrklowego i linijnego, jako wstępna nauka do geometryi wykreślnej, rysunków architektonicznych i t. d. Kraków 1875 cena 2 złr. 40 ct. zniż. na 1·20

Hoflmann A. W. Wstęp do nowoczesnej chemii, przetłómaczył z 5 wydania niemieckiego L. Masłowski. Kraków 1875 cena zł. 3.50 ct. zniżona na 1·50

Dr. Jordan. Nauka położnictwa dla użytku położnych 2 tomy. Kraków 1879 (na wyczerpaniu) 4·—

Kasprzycki. Geografia początkowa cena 75 ct. zniż. na—·30

Kraszewski - więzień i Niemcy Kraków 1883 —·30

Kochanowski Jan. Pieśni i treny. Kraków 1883 —·50

— Fenomena, Muza, Satyr, Monomachja. Kraków 1883 —·40

— Odprawa posłów greckich, Szachy, Dziewosłąb, Zuzanna, Broda, Marszałek, Zgoda, Epitalamium, Proporzec, Wtargnieniedo Moskwy, Pamiątka. Kraków 1883 —·50

— Fraszki. Kraków 1883 —·40

— Fragmenta, Wzór pań mężnych, Wróżki. O Czechu i Lechu, Wykład cnoty, O pijaństwie, Apoftegmata. Kraków 1883 —·30

— Psałterz Dawidów. Kraków 1883 —·80

— Rymy łacińskie w tłomaczeniu Brodzińskiego i Syrokomli. Kraków 1883 —·80

— Dzieła. Wydanie kompletne w 4-ch tomach, zawierające wszystkie pisma polskie Kochanowskiego, oraz dzieła łacińskie w tłomaczeniu Syrokomli i Brodzińskiego. Wydanie uznane za najlepsze ze wszystkich dotychczasowych, z dodaniem życiorysu, facsimile i portretu poety podług pomnika w Zwoleniu. Kraków 1882 3·20

— toż samo w oprawie w płótno ang. 4·80

Koziebrodzki. Klaudja, dramat. Kraków 1871 —·40

Krasicki Ignacy. Bajki i przypowieści. Kraków 1883 —.20

— Satyry. Kraków 1883 —·30
— Wiersze różne i wiersze z prozą. Kraków 1883 —·40
— Listy. Kraków 1883 —·10
— Myszeis. Kraków 1883 —·20
— Monachomachja i Antimonachomachja. Kraków 1882 —·20
— Wojna Chocimska. Kraków 1883 —·20
— Pieśni Ossyana. Kraków 1883 —·30
— Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego Kraków 1883 —·50
— Historja. Kraków 1883 —·50
— Pan Podstoli. Kraków 1883. 1·—
— Komedje. Kraków 1883. 1·—
— Dzieła w 5 tomach z portretem. Kraków 1883. 4·—
— toż samo w oprawie 6·—

Kraszewski J. I. Tomko Prawdzic, wierutna bajka. Lwów 1866. cena 50 ct. zniż. na—·25

Lipiński Tymoteusz. Pamiętniki z lat 1825 — 1831, Kraków 1883. 2—

Łoziński Wł. Galiciana. Lwów 1872 cena 1 zł. 50 ct. zniżona na—·80

Mill John Stuart. O rządzie reprezentacyjnym, przełożył na język polski G. Czernicki. Kraków 1866, cena 2 zlr. 40 ct. zniż. na—·50

Müller Max. prof. Religja jako przedmiot umiejętności porównawczej, Kraków 1876 cena 1 zl. 20 ct. zniżona na—·60

Dr. Müller Karol. Świat roślinny, dzieło poświęcone miłośnikom przyrody z 400 drzeworytami. Kraków 1867 2 tomy 4 zlr. zniż. na 2.50

N emcy czy Moskale. Kraków 1881. —·25

Nowelle. Zbiór nowelli: Dickensa, Daudeta, Puszkina Copeé'go, Turgeniewa, Kulisza, Elizy Polko, Jokaja i t. d. Kraków 1883. 3 zeszyty. Każdy zeszyt po —·50

Okoński. Niewinni i Antea, dramaty. Kraków 1876. 1 zlr. zniżona na—·50

Opaliński. Satyry. Kraków 1883 (w dr ku). —·80
— toż samo w oprawie 1·20

Pawlikowski. Tajemnica pani Krzuckiej, nowella, Kraków 1876. —.75

Pieśni polskie, zbiór ulubionych pieśni patrjotycznych. Kraków w r. 1883. —·60
— toż samo w eleganckiej oprawie 1·—

Pol Wincenty. Obrazy z życia i natury 2 tomy, 4 zł. zniżona na 1·60

Przewodnik po Krakowie (najnowszy) z dołączeniem planu miasta, informacyj, adresów. Kraków 1882 —·60
— toż samo w oprawie —.60

Rovani. Młodość Juliusza Cezara, opowiadanie z czasów rzymskich. Kraków 1876. (wyczerpane)

Sabowski. Józef Hauke Bosak, szkic biograf. Kraków 1866. —·20

— Intrygant, powieść. Kraków 1876 (na wyczerpaniu). zniżona na—·75

Schmidt Henryk. Szkic historyczny dziejów 30-letniego panowania Stanisława Augusta z 8 rycinami rysunku Kossaka i W. Eljasza. Kraków 1862 cena 1 zlr. 20 ct. zniż. na—·50

Szujski. Długosz i Kallimach. Lwów 1880. 1·—

Słowacki Juljusz. Hugo, Mnich, Arab, Jan Bielecki, Żmija, W Szwajcarji, Ojciec zadżumionych. Kraków 1882. —.40
— Lambro, Anhelli, Wacław, Duma o Rzewuskim, Grób Agamemnona, drobne wiersze. Kraków w roku 1882. —·40
— Mindowe, Marja Stuart, Pan Tadeusz. Kraków w r. 1882. —·40
— Sen srebrny Salomei, Król Duch. Kraków 1882 —·40
— Balladyna. Kraków 1882. —·40
— Beniowski. Kraków 1882. —·40
— Lilla Weneda, Mazepa. Kraków 1882 —·40
— Kordjan, O potrzebie idei. Kraków 1882. —·40
— Książę niezłomny. Kraków 1882. —·40
— Ksiądz Marek, Poema Piasta Dantyszka o piekle Kraków 1882. —·40
— Dzieła Juljusza Slowackiego, pierwsze tanie wydanie w 5-ciu tomach, zawierające toż samo co wydania lipskie i lwowskie z dodaniem odnalezionego urywku poematu „Pan Tadeusz" Kraków 1882 cena 4·—
— toż samo oprawne w płótno angielskie 6·—

Sprawozdania literackie. Maj-Październik 1882. r. Kraków 1883 —·20

Stanowisko Polaków w sprawie rossyjsko-niemieckiej. Kraków 1882. —·30

Szajnocha. Początek lechicki Polski. Lwów 1858 r. cena 4 zlr. zniżona na 1·50

Szpaderski X. Patrologja, 2 tomy. Kraków 1878 r. cena 4 zlr. zniżona na 1·50

Wierzbicki Dr. Geometrja wykreślna wraz z zastósowaniem do teoryi cieniow i wolnej perspektywy 2 części z 2 atlasami dla użytku wyższyh szkól realnych. Kraków 1875 każda część 2 zł. zniżona na 1 zlr. 50 ct. dwie części 3·—

Zacharjasiewicz. Marek Poraj, powieść z czasów pierszego rozbioru Rzplitej polskiej. Kraków 1867. cena 2 zlr. 40 ct. zniżona na—·80

Załęski St. ks. T. J. Słowo o książce Juljana Bartoszewicza: Szkic dziejów kościoła ruskiego. Lwów 1881. —·15

Ziemiałkowski Florjan, życiorys z portretem. Kraków 1883. 1·—

Zawiliński R. Z Etnografji krajowej. Kraków 1883. —·20

Żółkowski. Momus. Kraków 1883 —·80
— toż samo w oprawie 1·20

PERŁY HUMORU POLSKIEGO

wychodzą zeszytami i obejmują to wszystko, co literatura nasza wydała wybitnego na polu humorystyki. Zacząwszy od Reja a skończywszy na ostatnich humorystach naszych — każdy znajdzie miejsce w **Perłach humoru**. Procz tego uzupełniamy ten zbiór anegdotami, wierszami i innemi humorystycznemi drobiazgami, jakie niedrukowane dotąd znajdują się po rękopismach. Podajemy tylko sam wybór, tylko prawdziwe **perły humoru**, aby treść odpowiadała w zupełności tytułowi. Wchodzą do zbioru i przysłowia i dowcipne aforyzmy, wejdą i utwory ludowe, których świeży, naturalny dowcip niejednokrotnie wiele ma wartości i głębokiej myśli. Słowem **Perły humoru** będą rzeczywistą skarbnicą narodowego dowcipu.

Perły humoru wychodzą nakładem K. Bartoszewicza w 2ch wielkich tomach. Dla ułatwienia w nabywaniu każdy tom podzielony został na 6 zeszytów. Cena każdego zeszytu w wielkiej 8ce obejmującego 3—4 arkuszy druku wynosi **30** ct., z przesyłką pocztową **35** ct. **Składający z góry prenumeratę za całość 12 zeszytów płacą tylko 3 złr.** z przesyłką pocztową zaś **3** złr. **50** ct.

Siedem zeszytów **Pereł humoru** już się ukazało. Dalsze zeszyty wychodzić będą w odstępach dwu-tygodniowych.

Prenumeratę na **Perły humoru** przyjmuje się tylko do 20 Marca 1885.

KATALOG
WAŻNIEJSZYCH PISM POLSKICH

na które prenumeratę przyjmuje księgarnia

K. Bartoszewicza.

Tytuł pisma	Prenumerata w Krakowie						w całem państwie austryackiem z przesyłką					
	kwartalnie		półrocznie		rocznie		kwartalnie		półrocznie		rocznie	
	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct
Ateneum	—	-	10	—	20	—	—	—	10	60	21	2
Biblioteka najc. utworów	2	—	4	—	8	—	2	15	4	30	8	60
„ warszawska		—	7	50	15	—	—	—	8	10	16	20
Biesiada literacka	2	—	4	—	8	—	2	30	4	60	9	20
„ „ z dodatkiem	2	50	5	—	10	—	3	—	6	—	12	—
Bluszcz	2	75	5	50	11	—	3	50	7	—	14	—
„ z dod. mód kolor.	4	75	9	50	19	—	5	40	10	80	21	60
Echo muzyczne	2	50	5		10	—	3	15	6	30	12	60
Gazeta lekarska	—	—	4	15	8	30	—	—	4	75	9	50
„ rolnicza	2	50	5	—	10	—	2	75	5	50	11	—
Gospodyni wiejska	2	50	5		10	—	2	80	5	60	11	20
Kłosy	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ z Bibl. najc. utworów	5	30	10	60	21	20	6	30	12	60	25	30
Kolce	2	50	5	—	10	—	2	75	5	50	11	—
Kronika rodzinna	1	65	3	30	6	60	—	—	4	—	8	—
Medycyna		—	4	15	8	30	—	—	4	75	9	50
Mucha	1	50	3	—	6	—	1	80	3	60	7	20
Niwa	3	—	6	-	12	—	3	30	6	60	13	20
Ogrodnik		—	5	—	10	—	—	—	5	70	11	40
Przegląd katolicki	2	10	4	20	8	40	2	40	4	80	9	60
„ lekarski	2		4	—	8	—	2	20	4	40	8	80
„ lwowski	2	60	5	—	10	—	—	—	—	—	—	—
„ polski	4	—	8	-	16	—	—	—	—	—	—	—
„ techniczny	—		6	65	13	30	—	—	7	—	14	—
Przewodnik bibliograficzny	—	28	—	50	1	—	—	34	—	62	1	24
„ nauk i literacki	1	25	2	50	5	—	—	—	—	—	—	—
Przyjaciel dzieci	1	50	3	—	6	—	1	80	3	60	7	20
Przyroda i przemysł	2	50	5	—	10	—	2	75	5	50	11	—
Tygodnik illustrowany	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ powszechny	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ rolniczy	2	-	4		8	—	2	75	5	50	11	—
„ romansów i powieści	1	40	2	80	5	60	1	60	3	20	6	40
„ „ z Bil. naj. utw.	3	40	6	80	15	60	4	—	8	—	16	—
Wędrowiec	2	—	4	—	8	—	2	25	4	50	9	—
„ z dodatkiem	2	50	5	—	10	—	2	90	5	80	11	60
Wieczory rodzinne	1	65	3	30	6	60	1	90	3	80	7	60

Księgarnia przyjmuje prenumeratę i na wszystkie inne czasopisma polskie i obce, z wyjątkiem pism codziennych.

NAKŁADEM KSIĘGARNI K. BARTOSZEWICZA

wyszło **pierwsze tanie wydanie**

DZIEŁ JULJUSZA SŁOWACKIEGO

w pięciu tomach z portretem.

Wydanie to zawiera toż samo co wydania lipskie i lwowskie, oraz odnaleziony urywek poematu Juljusza: Pan Tadeusz.

Pod względem poprawności korekty wydanie to przewyższa wszystkie dawniejsze. Papier biały, druk czysty i wyraźny.

Cena 5ciu tomów 4 złr.

W ozdobnej oprawie w płótno angielskie z wyciskami cena 6 złr.

Od d. 1 Lipca 1878 r. wychodzi w Krakowie pod redakcyą Dra Władysława Wisłockiego, kustosza biblioteki Jagielońskiej

„PRZEWODNIK BIBLIOGRAFICZNY"

miesięcznik dla wydawców, księgarzy, antykwarzy, jakoteż czytających i kupujących książki. Każdy Numer w objętości $\frac{1}{2}$—$1\frac{1}{2}$ arkusza druku w zwykłej 8ce, 49 wierszy (61 petytowych) wysokiej, zawiera trzy działy: 1. Bibliografię właściwą bieżącą; 2. Kronikę; 3. Ogłoszenia czyli inseraty księgarskie, drukarskie i t. p.

WARUNKI PRENUMERATY:

całorocznie	1 złr.,	z przesyłką	1 zł.	24	ct.
$\frac{1}{2}$ „	50 cnt.,	„	—	62	„
$\frac{1}{4}$ „	28	„	—	34	„
$\frac{1}{12}$ „	10 „	„	—	12	„

Opłata od ogłoszeń za każdą $\frac{1}{10}$ część strony 50 cent., za całą stronnicę czyli 61 wierszy petytowych 5 złr.

Prenumeratę w gotówce i wyraźnie pisane ogłoszenia przesyłać należy za pośrednictwem księgarń krajowych i zagranicznych najdalej do 20 każdego miesiąca, albo do księgarni **G. Gebethnera i Spółki** w Krakowie, albo wprost do redaktora „Przewodnika bibliograficznego".

Księgarnia K. Bartoszewicza nabywa I-szy i 3-ci Nr. „Przeglądu" z r. 1882 po 30 ct. za egzemplarz.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca **Jan Blaschke.**
W drukarni A. Koziańskiego.

Rok IV. Kraków, dnia 5 i 20 Marca 1885 r. Nr. 5. i 6.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny redaktor K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
ul. Sławkowska, hotel Saski.

W Warszawie: *prenumerata rocznie 4 rs., półrocznie 2 rs. Z przesyłką do Cesarstwa i Królestwa rocznie 6 rs., półrocz. 3 rs. Skład główny w Warszawie u G. Centnerszwera. (Marszałkowska 73).*
Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.

MOJ PIERWSZY WYSTĘP LITERACKI.

(RAMOTKA).

przez

Michała Bałuckiego.

Kiedy jeszcze nie byłem drukowany (a było to za wszechwładnego panowania w Krakowie wielkiego krytyka-despoty, który wszystkie kiełkujące talenty, z obawy o przyszłe swoje panowanie, po Herodowemu ścinał piórem, wyjąwszy takich, które się przed siłą jego ciosów herbową tarczą zasłonić mogły), otóż w tym czasie okropnego strachu na niemowlęta poetyckie, mieszkałem przy ulicy Sławkowskiej, na czwartem pięterku, w dziedzinie kominów i kotów, liczyłem na palcach zgłoski, dobierałem z mozołem końcówek, potłuczone okna zalepiałem papierowemi szybami, nosiłem długie włosy dla fantazyi i wytarty surdut (ale to już nie dla fantazyi) i lubiłem blady księżyc, blade dziewice i posępne kwiaty; krociej mówiąc, byłem *poetą*. Antykwaryusz, u ktorego pozbywałem zwykle rzeczy mniej poetyczne, jak naprzykład: szkolne książki i kajeta z ćwiczeniami, nie chciał mi przyznać tego tytułu, utrzymując, że równie jak w szewskiej, tak i w poetyckiej kondycyi, zanim się zostanie majstrem, trzeba wprzód terminować u jakiego wielkiego majstra-poety i otrzymać wyzwolenie w formie łaskawej recenzyi. Bez tego można zostać tylko fuszerem, partaczem poetyckim. Nie umiem powiedzieć ile było prawdy [w proroctwie potomka narodu, co tylu liczył proroków, ale pewna, że wtedy śmiałem się z kasandryjskiej wieszczby i czepiając się przysłowia «*poeta nascitur*», szanowałem się jako wielkiego poetę, miałem bowiem wszystkie potemu przymioty: nosiłem włosy w guście wieszcza Adama, dumałem oparty o stół podług rysunku autora Irydiona, byłem kochliwy jak Słowacki, lubiłem poncz jak Szyller i trunkiem Jean Paula nie gardziłem. Przy takich zasobach mniejsza już było o resztę, jako to: o natchnienie. twórczość i tympodobne małe dodatki.

Ale wśród nadętych marzeń o sławie i idealnych wędrówek po księżycach, kwiatach i modrych oczach, uderzył we mnie niespodziewanie grom nieszczęścia, w postaci fluksyi. Dla starych panien to rzecz zwyczajna, dla zwykłego śmiertelnika bagatela ale poeta z pokrzywionem, spuchniętem licem, to rozpacz nie do opisania. Jak tu pokazać się przed ludźmi z twarzą niepodobną do żadnego bohatera poematów? Spojrzałem w potłuczone zwierciadełko, załamałem ręce z rozpaczy i rzuciłem się z jękiem na niepościelone łóżko. Zdawało mi się, że już nie jestem poetą. Co chwila macałem się po fizyognomii, gniotłem ją palcami jak materac, ale napróżno, nieszczęście moje t. j. puchlina, z każdym dniem się powiększała, a tu trzeba było koniecznie wyjść z domu dla zaspokojenia tej marności, którą niepoetyczny tłum zowie głodem i dla ujrzenia pięknej nieznajomej, w której kochałem się od dwóch tygodni. Głód i kochanka nie dały mi spocząć jak Orestowi. W tem wielkiem nieszczęściu znalazłem serdecznego przyjaciela, który mi poradził doktora, mającego sobia za prawdziwą przyjemność nieść bezpłatnie lekarską pomoc ludziom wykształconym i utalentowanym. Dodatek ten «*bezpłatnie*» był koniecznie potrzebnym dla mojej kieszeni; był on, jak się później dowiedziałenm i samemu doktorowi bardzo potrzebny, bo tylko ta bezpłatność zabezpieczała mu praktykę i to nie na długo.

Otulony w sposób nieopisany w żadnym poemacie, ani klasycznym, ani romantycznym, wysunąłem się o zmierzchu do mieszkania doktora. Ogromny szyld wywieszony nade drzwiami, głoszący, że doktór N. N. leczy na wszelkie słabości skryte i jawne, skróne i podskórne, zapewnił mnie, że trafiłem. Pociągnąłem za dzwonek i stanąłem przy oknie wychodzącem na sień, a oświetlającem przedpokój doktora.

— Kto tam? — odezwał się głos z pokoju.

— Swój.

— Aha, zaraz... Mateuszu, idź otwórz.

Otwarły się drzwi pokoju doktora i wyszedł (jak to mogłem widzieć przez okno) człowiek w szlafroku kwiecistym i w greckim fezie (zapewne Mateusz), odsunął rygiel i z niesłychaną szybkością, mignąwszy mi tylko przed oczami, wsunął się napowrót do pokoju.

Wszedłem i czekałem.

— Proszę — odezwał się ten głos co poprzednio.

Nieśmiało uchyliłem drzwi prowadzące do Eskulapa, i spuchniętą twarz ułożyłem w ile możności najwdzięczniejszy wyraz. Spojrzałem i zgłupiałem. Tenże sam Mateusz w szlafroku i fezie, który mi drzwi otwierał, siedział teraz przy biurku nad książką.

— Czego sobie pan życzysz?—spytał mnie dość uprzejmie.

— Czy zastałem pana doktora?

— Ja nim jestem — rzekł, prostując się.

— Pan?

Obejrzałem się po pokoju, był tyko jeden pokój. O Mateuszu ani słychu. Widocznie doktór nietylko ludzkości służył ale i sobie.

— Czego pan sobie życzysz? — powtórzył.

Odwiązałem twarz, to było najwymowniejsze.

— O, źle! — rzekł doktór oglądając mnie.

Zdrętwiałem i zbladłem.

— Bardzo źle, gruczoły nabrzękłe, nerwy oczne zaatakowane, stwardnienie muszkułów policzkowych mocne, gorączka. Pan pewnie czujesz zupełny brak apetytu?

— Owszem, panie konsyliarzu — zaprotestowałem drżącym, zmienionym głosem.

— To go pan uczujesz. Bezsenność mocna, prawda?

— Owszem, panie konsyliarzu, śpię jak...

— To niepodobna, to się panu tylko zdaje.

— Być i to może — pomyślałem w duszy, wszak sen jest złudzeniem i nie protestowałem już.

— Więc cóż pan konsyliarz myśli?

— Ja jeszcze nic nie myślę; rozsądny lekarz powinien, zanim coś stanowczego powie, wybadać dobrze naturę chorego, a ja pana jeszcze nie badałem.

— Jeszcze nie?

Roześmiał się z dumą z ignorancyi mojej, wstał, poszedł ku szafeczce i wyjął z niej różne instrumenta.

— Teraz panie medycyna postąpiła; dziś wynaleźliśmy choroby, o jakich się naszym poprzednikom ani śniło. Proszę się położyć.

Z rezygnacyą poddałem się badaniu nowoczesnemu, które tyle chorób umiało wynaleźć. Doktór pukał i nasłuchiwał, objaśniając samego siebie półgłosem łacińskiemi terminami, a rzucając niekiedy profanowi jakie słowo objaśniające po polsku.

— Defekt sercowy... Klatka piersiowa znacznie zwężona... śledziona obrzmiała.....

— Przez litość, panie lekarzu, ja zawsze byłem zdrów, ja nigdy nie sądziłem, żeby mi czegoś brakowało.

— Bo pan nie doktór. My doktorzy jesteśmy od tego. Jako doktór mogę panu powiedzieć, że jesteś niebezpiecznie chory..

Zbladłem, język ze strachu skołczał w ustach, ręce zbezwładniały. Doktór rzeczywiście przekonał mnie, że jestem niebezpiecznie chory, śledziona, wątroba, kiszki, serce, głowa, wszystko zaczęło mię boleć, — bujna poetycka fantazya nasuwała mi zaraz myśl o śmierci. Zrobiło mi się okropnie.

— Więc pan konsyliarz utrzymuje, że jestem.... tego ten.... niebezpiecznie chory, że niema nadziei...

— Pańskie szczęście, żeś się do mnie udał; ja ręczę, że pan będziesz zdrów.

Była to, jak się później dowiedziałem, zwykła taktyka doktora: przestraszyć chorego, wystawić ogrom niebezpieczeństwa, aby w razie złego powodzenia kuracyi mieć wymówkę, a w razie szczęśliwego odnieść tryumf tem większy. Taktyka ta zrobiła, że doktór nie mógł się wcale użalać na zbytek pacyentów. W czasie, w którym się udawałem do niego po radę, miał ich dwóch: mnie i mego przyjaciela. O tem jednak dopiero później się dowiedziałem, teraz wierzyłem wszystkiemu, co doktór mówił; a mówił mi wiele o sobie, o swoich zdolnościach i pacyentach, o złym sposobie leczenia innych lekarzy; tłumaczył mi, w jakie mogłem wpaść choroby i niebezpieczeństwa, radząc się innych, nie jego, i tak mnie przekonał, że dziękowałem Bogu i memu przyjacielowi, iż tu a nie gdzieindziej skierowałem swoje kroki. W końcu zapisał mi receptę, w której były lekarstwa na wszystkie choroby, wyjąwszy na fluksyą, która jak się wyrażał doktór, mało znaczyła. Byłem rad z doktora i doktór widocznie rad był ze mnie. Skończywszy o medycynie, rozpoczął rozmowę o czem innem.

— Czemu się pan poświęcasz?

— Ja?.. trudno mi było wydusić z siebie: uczę się, chodzę do szkoły; rzekłem więc — ja? poezyi!..

— Poezyi? to ładnie. I ja w młodości uprawiałem tę gałęź, ale brak czasu, kłopoty życia wydarły mnie memu przeznaczeniu. Jak nazwisko, jeźli wolno spytać?

— Eugeniusz R. (skłamałem k'woli poezyi, było mi na imię Jacek).

—Pan R.? proszę? Znam, a jakże, znam—słyszałem o panu wiele; pan rokujesz niepośledni talent, możesz z czasem wysoko stanąć...

Myślałem, że oszaleję z radości, w głowie mi się zadymiło od tych pochwał. Zna mnie — on mnie zna — jestem znany — świat wie o mnie — powtarzałem sobie na różne odmiany. Ta myśl mnie uzdrowiła, zapomniałem o fluksyi, o świeżo przez doktora odkrytych chorobach i wróciłem do domu uradowany, szczęśliwy. Popaliłem wszystkie narzekania na świat, utyskiwania, że zapoznaje geniuszów, że nie szanuje swoich proroków i z wielkiej uciechy tego wieczora ani jednego wiersza nie napisałem. Odpoczywałem na laurach, jak wszyscy moi bracia po gęśli, gdy im naród kadzi, a nakładcy płacić zaczynają.

— Zna mnie, znają mnie, jestem znany powszechnie — powtarzałem sobie przed spaniem i wśród tych błogich marzeń, usnąłem.

Zadowolenie wewnętrzne wpłynęło tak dobroczynnie na moje zdrowie, że byłbym już nie chodził do doktora, dla dalszych poszukiwań chorób, gdyby nie autorska próżność, która spodziewała się znowu uznania i komplimentu. Zawiodłem się jednak. Doktór, wypowiedziawszy wszystko co wiedział o mnie (a wiedział bardzo mało), zaczął mi mówić o sobie, a w tym względzie był niewyczerpany. Raz tylko przypadkiem natrącił mi, że radby poznał co z prac moich.

Na to tylko czekałem. Wróciłem do domu uradowany, wyszukałem między stosami rymów najdłuższy, najwznioślejszy poemat, poprawiłem, przepisałem starannie na czysto i odczytywałem po kilkadziesiąt razy, gotując się do pierwszego *występu literackiego.*

Przez ciągłe odczytywanie, manuskrypt naturalnie zbrukał się mocno; ale to nic. Przepisałem go z największą przyjemnością po raz drugi (a trzeba dodać dla wiadomości czytelników, że miałem zwyczaj stare manuskrypta po przepisaniu ich palić natychmiast). Był to jedyny opał jakiego używałem w mojem mieszkaniu, dla mnie wystarczał, przepisałem więc na nowo dawne manuskrypta, przepisany odczytałem znowu po kilka razy i niecierpliwie liczyłem minuty oddzielające mnie od ważnej chwili. Nadeszła wreszcie, złożyłem starannie manuskrypt, obwinąłem w trzy arkusze bibuły i wyszedłem. Chustka na szyi zawiązana á la Byron szeleściała mi koło uszów, wiatr rozwiał poetycznie moje włosy, reszta tylko ubrania... ale mniejsza o resztę — głowa grunt.

Gdym wszedł na schody, prowadzące zwykle do mieszkania doktora, a dziś wiodące mnie do sławy, serce poczęło bić gwałtownie, zdawało mi się, że ono bije tryumfalny marsz dla mnie. Z ręką na manuskrypcie poszedłem na górę i zastałem drzwi zamknięte. Próżno dzwoniłem, ani doktór, ani Mateusz nie pojawili się; wreszcie służąca od państwa mieszkających naprzeciwko, która po wyjściu doktora zastępowała zwykle miejsce Mateusza, oświadczyła mi, że doktora od wczoraj niema w domu.

— Gdzież być może? — spytałem, pewny, że doktora jakiś nadzwyczajny wypadek musiał pozbawić przyjemności słuchania moich wierszy. Wszakże wyraźnie dziś żądał, prosił o to.—Coś się stać musiało — rzekłem głośno.

— A to dlaczego? Pan doktór często tak długo siedzi na kartach u pana Szczutkiewicza.

— *Na kartach siedzi* — powtórzyłem ponuro i zstępowałem ze schodów, (mnie się zdawało, że zstępuję ze szczytu mojej wielkości) wyrzekając na gruby materyalizm świata. W sieni spotkałem się z doktorem, był niewyspany i w zaniedbanej toalecie.

— A kochany pan Eugeniusz... przebacz, daruj, spóźniłem się; ale powiadam ci, mam pacyentów tysiącami, ognać się trudno i w domu i za domem, rozrywają mnie, powiadam ci.

Pomięty surdut zdawał się stwierdzać te ostatnie słowa, co się zaś tyczy pacyentów miałem już sposobność przy dłuższej znajomości z doktorem przekonać się, że to były ideały, których nigdy urzeczywistnić, których się nigdy dotknąć nie mógł. Wróciłem z nim na górę.

— Wiktorya, klucz, mój klucz!

Służąca, obcierając mokre ręce, wyniosła klucz i otworzyła drzwi.

— Był tu kto? — spytał się doktór, wchodząc.

— Nikogo — a któż miał być?

— Głupia dziewczyna, albo ona zna się na tem — rzekł do mnie doktór półgłosem — zaręczam ci, że było mnóstwo chorych. Wiktorya!

— Słucham pana doktora.

— Zrób nam czarnej kawy — wszak napijesz się, panie Eugeniuszu?

— Przeczytam, z ochotą przeczytam... wyrwałem się, nie zważając o czem doktór mówił, a mając ciągle głowę nabitą moim poematem.

— A tak, prawda, obiecałeś przeczytać, jesteś słowny, wcale nie tak, jak poeta. (W tej chwili żałowałem, że byłem słowny). Ale wprzód napijemy się czarnej kawy dla strawności, dobrze?

Nie wiem, co miałem trawić, chyba moją pustą kieszeń, która zabroniła mi dziś tak niewinnej przyjemności, jak skosumowanie skromnego obiadu; ale trudno było z tego spowiadać się przed światem, t. j. w tej chwili przed doktorem, i przystałem na czarną kawę.

— Kiedy niema, proszę pana doktora — zakończyła Wiktorya.

— Dlaczego?

— Bom nie była w mieście.

— To idź teraz.

Wiktosi widocznie nie chciało się wychodzić na słotny czas, na deszcz, błoto i zimno. Na to trzeba być poetą niedrukowanym, szukającym słuchaczów.

— No, idźże — powtórzył doktór, bo nie mam chwili czasu do stracenia.

— Kiedy proszę pana tam paskuda na dworze, a ja chora.

— Co, chora? — pochwycił doktór i skoczył ucieszony ku nowej pacyentce.

Ze mną i moim przyjacielem, doktór już miał trzech pacyentów.

— Chora? a prawda. Patrz, panie Eugieniuszu, człowiek nawet w domu nie może się ognać chorym.

Mówiąc to, trzymał mocno za rękę dziewczynę, ktora od nudnej indagacyi wyrwać się usiłowała. Pojmowałem dobrze uciechę doktora, tylko poeta zrozumieć ją zdoła, jeden tylko poeta, który równie mozolnie musi szukać słuchaczy i za poły ich przytrzymywać. Prorocza, natchniona dusza moja, w owej chwili wyobrażała sobie jak przyjdą czasy, w których na jednego chorego dwóch doktorów, a na jednego czytającego czterech piszących wypaduie. Jakże ich szanować trzeba będzie! A czasy te są bliskie. Znałem w powiatowem miasteczku w Galicyi doktora homeopatę, niemającego żadnej prawie praktyki, ale mającego piękną, młodą żonę. W młodej żonie zakochał się młody hrabia W. i począł bywać w domu doktora, pod pozorem kuracyi. Raz homeopata, wróciwszy do domu o niezwykłej porze, zastał hrabiego obok swojej żony, w dość czułej i poufnej sytuacyi. Stary zazdrośnik zawrzał gniewem, podniósł laskę do góry i chciał na grzbiecie zalotnika wypisać wcale nie homeopatyczne dozy, gdy w tem myśl: «stracisz pacyenta» zatrzymała mu rękę w górze. Doktór pokonał męża, spuścił kij i spytał:

— Przepraszam hrabio, jakże zdrowie?

To zaparcie się doktora przekonywa jak drogiemi zaczynają być pacyenci. O czytelnikach dawnoby już to można powiedzieć; ale zamilczę, bo tylu o tem mówi. Wracam do doktora.

— A prawda, chora — mówił trzymając wciąż Wiktosię za puls i patrząc w nią przerażony — puls gorączkowy. Pokaż język.

— Ale mnie, proszę pana doktora, nie język boli tylko noga, skaleczyłam sobie szkłem.

Doktór się tem nie zmięszał.

— Noga skaleczona... Potrzebna będzie operacya.

— Jeszcze czego.

Dziewczyna się gwałtem wyrwała i uciekła z pokoju. Doktór został bez praktyki, ale ja otrzymałem słuchacza. Korzystałem z chwili, dobyłem manuskrypt i począłem natchnionym głosem czytać:

MOJE CIERRRRPIENIA,

poemat w 48 pieśniach.

I.

«Po zagmatwanych przepaściach żywota
Chodzę bolesny, ale dziwno przecie,
Że choć tak...

Plusk wody przerwał mój zapał, podniosłem oczy od manuskryptu, spojrzałem... doktor mył sobie ręce.

— To nic, nie zważaj pan na to, ja słucham.

Byłem zgorszony, oburzony. Mnie się zdawało, że słuchając moich poematów, uklęknie z podziwu, a on... Ale cóż miałem robić, obrazić się, nie czytać, jeszcze gorzej. Czytałem więc dalej, mając tę błogą nadzieję, że potęga słów moich wytrąci mu mydło z ręki i zmusi do skłonienia ze czcią głowy przed geniuszem rymów. Czytałem więc:

Że choć tak czarno i smutno na świecie,
Do lat dziecinnych nie rwie mnie tęsknota,
Bom tam tak chmurne niebo miał nad sobą
I cień tych smutków na twarz mi żałobą
Upadł, żem śmiać się długi czas nie umiał,
I śmiech mi męką był, żem nie rozumiał
Pustot dziecięcych i wśród ich zabawy
Chodziłem cichy, niby obłok łzawy
Wśród uśmiechniętych gwiazdek na błękicie,
Ironia wesela, smutne dziecię (sic).

Tu, odpowiednio do słów poematu, wykrzywiłem usta cierpko, boleśnie. Nie chciałem, aby ten wyraz uszedł uwagi słuchacza, spojrzałem więc na niego. Doktór oglądał podarte rękawiczki i krzywił się nie kontent z tego.

— Przepraszam, zaraz służyć będę — rzekł pośpiesznie. Wiktorya! — zawołał przeze drzwi.

Wbiegła dziewczyna.

— Przyszyj no mi ten guzik i załataj tam jako ten palec. No, słucham pana dalej, rzekł kończąc toaletę.

Spojrzenie pełne pogardy rzuciłem niewdzięcznikowi, co tak deptał lekceważeniem moję dziewiczą muzę; pot rzęsisty oblewał moje czoło.

— To ładne, to bardzo ładne, to z talentem napisane — rzekł dotór otrzepując surdut z pyłu.

Ostatnie słowa pogodziły mnie z nim. «Ten człowiek umié czuć» — pomyślałem sobie i zabierałem się do dalszego czytania.

— I cóż się stanie z tym biedakiem, z bohaterem pańskiego poematu?

— To ja nim jestem.

— A! pan, więc nie umrze? A to dobrze.

— Owszem, na końcu 47 pieśni umrze.

— Więc 47 pieśni?

— Nie, 48.

Doktór pobladł na myśl, że będzie musiał słuchać 48 pieśni. Tak dziś sądzę, wtedy zdawało mi się, że ogrom poematu wzbudził w nim poszanowanie. Dotąd myślał, że ma do czynienia z poetką bawiącym się odami, hymnami, a zobaczył wieszcza o 48 pieśniach.

— A wiesz pan, to szkoda czytać mnie samemu. Chodź pan ze mną, panie Eugeniuszu, do Kalasantego; dziś jego imieniny, sprawisz mu tem prawdziwą przyjemność.

— Ależ ja nie znam pana Kalasantego.

— Co? nie znasz? Toż to także literat. Napisał wypiski z pism pisarzy polskich. Dwadzieścia dwa lat pracował nad tem dziełem. To mój najlepszy przyjaciel. Zastaniesz u niego wielu literatów.

Wielu literatów razem, to była ponęta, która mnie kusiła. Czytać między literatami, to prześcigało moje najśmielsze marzenia. Począłem się wahać.

— Ależ moje ubranie, wtrąciłem w końcu.

— Wstąpisz do domu i przebierzesz się.

Chyba w kołdrę i poduszkę, pomyślałem sobie, znając dobrze swoją garderobę. Co najlepsze, to miałem na sobie.

— Albo wiesz co, panie Eugieniuszu — zaproponował doktór — po co masz chodzić do domu, weź mój frak i basta!

Frak! nigdy jeszcze nie miałem na sobie tego zbytkownego ubrania, a lubo to ubiór niepoetycki, jednak chętka do elegancyi odezwała się we mnie, zwłaszcza, gdym spojrzał na mój wyszarzany surdut. Przystałem więc na propozycyą, doktór wyjął z szafy zapylony frak, już nie pierwszej młodości, wdział go na mnie, otrzepał i oczyścił. Z lubością przeglądałem się w lustrze: rękawy były trochę za długie, tak iż ledwie końce palców świadczyły o istnieniu ręki; frak, nie zastosowany do kształtów poetyckich, marszczył się i wzdymał na plecach i na piersiach, tak że dla wygładzenia nierówności mógłbym był śmiało podwdziać coś watowanego, n. p. paletot. Mimo to wszystko byłem z fraka niesłychanie zadowolony, wszak geniusze nie trzymają się ślepo przyjętej formy. Ułożyłem więc frak jak pancerz na sobie, rozpuściłem fantastycznie końce bajrońskiej chustki i poszliśmy.

— Pan tedy nie znasz całkiem Kalasantego?

— Nie.

— To nic — możesz mu pan przy złożeniu życzeń powiedzieć jaki kompliment, toby nie zaszkodziło, pan Kalasanty to lubi. Możnaby mu na ten przykład powiedzieć, żeś go pan słyszał w towarzystwie jakiemś, czytającego rozprawę o wilkołaku. Rozprawa ta powszechnie się podobała w gronie blizkich znajomych.

— Więc o wilkołaku mówi pan konsyliarz?—rzekłem i układałem sobie w myśli krótką mówkę dla solenizanta.

Weszliśmy do domu. W sieni spotkał nas otyły jegomość.

— A pan konsyliarz, witamy mociumdzieju, witamy, bardzo nam tedy przyjemnie. A kogóż to z sobą prowadzisz?

— Pan Eugeniusz R., poeta, literat... tutejszy gospodarz — rzekł doktór, wzajemnie nas przedstawiając.

Skłoniłem się uprzejmie i ponieważ właśnie wtedy ktoś doktora zagadał i wciągnął do pokoju, korzystałem ze sposobności i zacząłem z gospodarzem rozmowę od komplimentu.

— Mam już przyjemność, o ile mi się zdaje, znać osobę pana dobrodzieja. Pamiętam dobrze ten głos i tę twarz na posiedzeniu literackiem, kiedyś pan nas zachwycał swoją nieporównaną rozprawą o wilkołaku.

— Ja?.. wytrzeszczył na mnie zdziwione oczy i cofnął się zdumiony.

Zgłupiałem.

— Miałżebym się mylić?

— Ale mylisz się, dobrodziejaszku, ja w życiu swojem o niczem nie pisałem.

Cóż tu było odpowiedzieć? widocznie doktór zaplątał mnie w jakąś intrygę. Chciałem wybrnąć z tego i zdemaskowałem go

— Pan daruje, ale oto pan doktór uprzedził mnie o tem i sam nakłaniał, abym panu, jako solenizantowi...

— Ależ to nie moje imieniny, tylko pana Kalasantego.

— A pan jesteś?

— Gospodarzem tego domu, posiadaczem, jak pan chcesz.

Ładniem się znalazł na początku; starannie ułożony kompliment zmarnowałam, spaliłem jak fajerwerk komu innemu.

— Oto pan Kalasanty. Panie Kalasanty! panie Kalasanty! — wołał gospodarz, odciągając na bok zajętego gośćmi solenizanta, wszak to ty napisałeś rozprawę o wilkołaku?..

Solenizant z dumą i godnością rzekł:

— Ja.

— A widzi pan, że doktór nie skłamał, radząc panu powiedzieć ten kompliment.

Tem mnie zabił. Nie miałem odwagi powtórzyć komplimentu. Byłem w potach, coraz to gorzej brnąłem w błoto, mięszałem się, jąkałem i nie wiedziałem co powiedzieć. Na szczęście zjawił się doktór i pomógł mi:

— Poczciwy Kalasiu, oto pan Eugeniusz R., poeta, literat, który będzie ci łaskaw wdzień twego imienia coś nowego przeczytać.

Pan Kalasanty zrobił skromną dziewiczą minę, spuścił oczy składając ręce jak do pacierza, począł się sumitować:

— Rzeczywiście, zasługi moje na niwie ojczystej są tak małe, żem nie godzien, aby taki talent jak pański trudził się na uczczenie moich zasług i oddawanie mi publicznych hołdów!..

— Ależ panie dobrodzieju — przerwałem, chcąc go z błędu wyprowadzić.

— Z tem wszystkiem—ciągnął dalej, jeżeli pan był łaskaw, z największą przyjemnością posłucham ja i moi koledzy. Pańskie pochwały będą mi tylko zachętą do dalszej pracy naukowej. Proszę z sobą.

I wziął mnie pd rękę.

— Na rany boskie, jakie pochwały? jakie uznanie? — pomyślałem sobie. Ja w kieszeni, oprócz poematu o moich cierpieniach, nie mam nic, żadnej pochwały, żadnej ody, żadnego hymnu. Co tu zrobić? Chciałem się odezwać — nie było czasu. Weszliśmy już do pokoju rzęsisto oświetlonego, było w nim bowiem pięć świec stearynowych i kilku ludzi *światłych* rozpartych po kanapach i fotelach.

— Pan Eugeniusz R., poeta, literat.

Jakby ich kto za sprężynki pociągnął, tak nagle wszyscy pozmieniali miny; każdy ułożył się jak do fotografowania, każdy chciał wyrazem twarzy powiedzieć czem jest. Poeta wzniósł oczy w górę, archeolog spuścił je na swoje buty, historyk utopił oczy przed siebie i poprawił okularów, recenzent rzucał oczami bystro, przenikliwie, odzista nadął wargi, psalmista złożył ręce, humorysta skrzywił usta; zgoła, charakter tych panów tak się malował na twarzy, że mogliby nic nie pisać, a jednak z twarzy ich każdy wyczytałby coby pisali, gdyby się wzięli do pisania. Niektórzy z nich (jak się później dowiedziałem) rzeczywiście przestali na tym wyrazie jaki nosili na twarzy i nie dodali do niego żadnych wyrazów na papierze. O takich ludziach kółko admirując się na-

wzajem utrzymywało z ubolewaniem: «szkoda go, tentent ogromny, ale marnieje w bezczynie», albo z tajemniczą miną zwierzali się sobie, mówiąc: «nic nie pisze, ale obmyśla rzecz wielką, dzieło nieśmiertelne.»

Między znakomitościami, które potem miałem sposobność i przyjemność poznać bliżej, znajdował się poeta już szpakowaty, który w młodości swojej napisał przecudowny wiersz. Teraz od lat 18-stu nic nie pisze, z obawy aby czegoś gorszego nie napisał. Był tam i drugi poeta, który dla zachowania oryginalności nic nigdy nie czytał, wyjąwszy swoich utworów, a tworzył: bajki, sielanki, ody, hymny, sonety, tryolety, komedye, dramata, tragedye, kalendarze, książeczki do nabożeństwa, elementarze, rycerskie rapsody, psalmy, artykuły o maszynach do szycia, elegie, powinszowania i inne tym podobne rzeczy. Historyk z historyi znał najlepiej daty i gdyby kiedykolwiek zabrał się do pisania, pewny jestem, że nie używałby liter, ale cyfer. Humorysta na znak, ze sobie ze świata nic nie robi, że jest swobodny, założył nogę na nogę i ze splecionych rąk uczyniwszy sobie wezgłowie, wsparł na niej genialną głowę swoją. Podobno bywał niewyczerpany w dowcipach; tego wieczoru jednak nie był w usposobieniu, tylko uśmiechał się, z czego towarzysze wnosili, że musi coś dowcipnego myśleć. Nakoniec było kilku tłumaczy i kilku ludzi nienaukowych wprawdzie, ale którzy przez samo stykanie się z ludźmi uczonymi, zostali na poł uczonymi.

W to świetne grono wszedłem niezasłużony, ale szczęśliwy, prowadzony przez łaskawego gospodarza, zakłopotany, spocony i bez chustki do nosa.

Tak jest, nie miałem chustki: została z surdutem w mieszkaniu doktora. Czytelnikowi ten mały wypadek może się wydać komicznym, dla mnie jednak w owej chwili był on tragicznym. Tragiczność i komiczność nie zależą od rzeczy, n. p. od chustki go nosa, ale od punktu z jakiego się na nie zapatrujemy. Dziś śmiejemy się z owych wspomnień szkolnych, z owej poplamionej ławki, której długość w tak tragiczny sposób odmierzalismy nieraz; ale wtedy śmiechu nie było, gdy nad uszami zabrzmiało hamletowskie słowo stróża szkolnego: «*bić* albo *nie bić* panie profesorze». Ale wracam do opowiadania.

— Panowie! — odezwał się pan Kalasanty uroczystym głosem, gdyśmy już zasiedli do herbaty, mam honor przedstawić panom młodego ale pełnego talentu i nadziei pana Eugeniusza R. Był on tyle łaskaw, że skromnemu pracownikowi na niwie ojczystej pierwsze swoje natchnienia, pierwsze porywy ofiaruje, co przy dzisiejszej nadętości młodych ludzi, tembardziej zasługuje na uznanie.....

— Ależ panie dobrodzieju, ja żadnych... tego ten... jak się nazywa... żadnych pochwał...

— Słusznie ci się należą — przerwał pan Kalasanty, nie dając mi dokończyć.

— Słuchamy, słuchamy, zawtórował chór, spuścił oczy, podniósł uszy i założył ręce.

Ha, to będę czytał — pomyślałem sobie w ostatniej rozpaczy. Jak usłyszą, to przekonają się, że to żaden panegiryk dla solenizanta, ale poemat większego zakroju, że choć początkowe wiersze «po zagmatwanych przepaściach żywota» będą poniekąd alluzją do zbytecznej tuszy i niepośledniego *żywota* pana Kalasantego, jednak następne rymy wywiodą go z ułudy. W zawiedzionym będę miał nierzyjaciela, ale reszta odda hołd prawdziwemu talentowi. *Alea jacta est.* Sięgnąłem do kieszeni, kieszeni nie było. Przypomniałem sobie, żem nie w swojej sukni, i począłem starannie upatrywać kieszeni w doktorskim fraku. Znalazłem, sięgam... ręka wpadła jak w przepaść za podszewkę. Jak szczur w worku przejechałem się ręką po wszystkich skrytościach zapodszewkowych fraka doktorskiego, aż ręką przez poły pokazała się zdumionemu oku. Manuskryptu nie było. Zbladłem, struchlałem i ponowiłem szukanie.

— Co to? co to? — pytali ci, którzy z twarzy jeszcze mi nic nie wyczytali.

— Manuskrypt zgubiłem!..

Jęk ubolewania rozszedł się po zgromadzeniu.

— Może jest brulion? — zawołał pan Kalasanty, zrozpaczony o panegiryk, który go miał unieśmiertelnić.

— Spaliłem!

Grobowe milczenie nastało po tem słowie; było to pośmiertne uczczenie *nieznajomego arcydzieła*, po czem wszyscy zabrali się do kolacyi.

Taki był mój pierwszy występ. Zgubiony manuskrypt zjednał mi nierównie większą sławę, niżby był odczytany, zdobył mi poważanie w gronie tak dostojnych mężów. Skromność moja nie tyle to przypisuje własnej zasłudze, ile dziurze doktorskiego fraka. Co się z manuskryptem stało, na jaki użytek i jaka dłoń go użyła, nie dowiedziałem się nigdy.

Potem pisywałem jeszcze inne poemata, a gdy przychylni chwalili, powtarzałem zawsze w pół z dumą, w pół boleśnie:

— Już to nie to co mój pierwszy poemat. Takiego już nie napiszę!,...

Ztąd nauka dla początkujących rymopisów: jeżeli chcecie być wielkimi, prawdziwie wielkimi, nieśmiertelnymi—palcie swoje poemata, niech to będą arcydzieła nieznane!..

Z NIEDRUKOWANYCH POEZYJ MIECZYSŁ. ROMANOWSKIEGO *).

SONET ŻYCIA.

Wśród orkanów na fali grają żagle moje
Niby skrzydła łabędzie utoczone z piany —
Zimnem okiem spoglądam w przestwór rozbujany;
Niechaj piorun w maszt bije — ja widzę Ostoję.

Gdym od brzegu odbijał — to tęczy rozwoje
Kwiatem drogę mi słały przez modre bałwany,
A ja, dziecko — na łodzi słodko kołysany,
Plotłem w wieniec żeglugi — marzenia powoje.

Burza wieniec porwała — łodzią fala miota,
I niejeden już piorun w młodą pierś uderzył,
I usta obznajomił ze życia piołunem...

Ale płyńmy! — znów widzę szkli się tęcza złota,
Powróciła mym oczom — jam w powrót nie wierzył.
O teraz łodzi moja leć z myśli piorunem!

DO MEJ PIEŚNI.

Wyleć! wyleć z ziemskiej cieśni
Ukochana moja pieśni!
Tam! do gwiazdek, tam!
Stań przed niemi — zapłacz zcicha,
Jak kwiat, co za rosą wzdycha
Do ojcowskich bram.

Oj! nie ziemska ty mieszkanka,
Pieśni moja! tyś niebianka

*) Poezye M. Romanowskiego, które po raz pierwszy w „Przeglądzie“ drukiem ogłaszamy, są własnością W-nej Henrietty z Białoskórskich Artymowiczowej, której do „Albumu“ autor własnoręcznie takowe wpisał na pamiątkę. Pisane są między 1854—1860 r. E. R.

Z cherubinów sal.
— Ty w wieczornym brzózek cieniu
Spływasz do mnie na promieniu,
Jak łódka wśród fal.

Zapukałaś w serce skromnie
I przylgnęłaś cała do mnie
Złota pieśni ma!
Jam szczęśliwy puszczał myśli —
A ich polot któż określi,
Kto ich miarę zna?!

Myśli moje! Któż odgadnie
Kędy skrzydło wasze władnie,
Gdzie was wiedzie lot?
Gdym was szukał koło siebie
Was nie było — wyście w niebie
Czekały u wrót.

I błagalne wasze chóry
Przeleciały przez gwiazd chmury
Tam! przed Ojca tron,
By pozwolił siłą gromu
Pieśnią w naszych ojców domu
Bić do bratnich łon.

Widzę — widzę srebrna wstęga
Już do piersi mojej sięga!
Z gwiazdek płynie pieśń!
Ha! i żarem błysło oko,
Pierś oddycha już szeroko,
Z serca znikła cieśń.

Ale zwrotki jej żałosne
Jak tracące lilie wiosną.
Jak słowika śpiew!
Bo z mogiły kwiaty rwane,
Co w mej pieśni powiązane,
A siała je — krew!

Są tam róże, w różach ciernie,
I cyprysu liść misternie
Uperlony w łzy;
I głóg ostry, liść dębowy,
Co krył wiankiem ojców głowy
I boleści skry!

Tyle kwiatów! cierni tyle!
Przemarzone dzieckiem chwile,
Szczytnych myśli rój;
I żar w duszy, gdy w zapale
Przez wzburzone biegła fale,
Lub — staczała bój.

Pieśni! ogniem leć pod nieba,
Ach! nam światła tak potrzeba:
Ciemno — głucho tu!
A wśród tylu słońc zawiei
Swit przygasa gwiazd nadziei,
Szląc powłokę snu!

Ale chwilę! Zorza wschodzi
I różowy blask rozwodzi;
Ha! wnet błyśnie dzień!
I nam kiedyś zejdzie zorza,
Ale krwawo wstanie z łoża
I rozprószy cień! *)

Mieczysław R. z Pokucia.

*) Ostatni wiersz z powodu niejasnej stylizacyi musiał być nieco zmieniony; zresztą wszędzie pisownia i interpunkcya oryginału zachowana.
E. R.

HENRYK HEINE.

PORTRET LITERACKI

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

(Dokończenie).

VIII.

Henryk Heine jako poeta tendencyjny.

Poezye tendencyjne. — „Atta Troll.“ — „Niemcy.“

Humorystą nazywają dotąd niemieccy historycy literatury Heine'go.

— Zasługiwałże on kiedykolwiek na to miano?

Humoryści byli po wszystkie czasy na pierwszem miejscu optymistami. Kochali oni ludzkość, wierzyli w jej celowość, w jej możność ciągłego doskonalenia się, w jej strony dodatnie, jasne, szlachetne. Ośmieszając przewrotność pewnej jednostki, czynili to tylko dlatego, aby zwrócić uwagę na wady i przywary, które są powodem znacznej części nieszczęść doczesnych. Nie śmiali się oni nigdy dla samego śmiechu, nie przeczyli dla samego przeczenia, lecz zrywali maskę z wszelakiej złości zawsze, z zamiarem naprawienia złego. Nie bawiło ich głupstwo ludzkie. Smuciło ich ono, zatrważało i dlatego widać na dnie ich uśmiechu serdeczną łzę, która godzi czytelnika z bezwzględną niejednokrotnie krytyką. Ta łza humorystów działa tak samo, jak zadowolenie uczuć estetycznych po gwałtownych wzruszeniach potężnego dramatu. Jest ona tem samem w utworze komicznym, czem «katarsis» arystotelesowska w tragedyi.

Wprawdzie twierdzi biograf Heine'go, że i autor «Obrazów» uśmiechał się tak samo, jak: Swift, Dickens, Hippel i Jan Paweł, lecz bezstronny spostrzegacz ogląda się daremnie za owym «uśmiechem».

Mein Frauelein, sei'n Sie munter,
Das ist ein altes Stueck!
Hier vorne geht sie unter,
Dort hinten kommt sie zurueck.

«Nie smuć się moja panno, bo to stare dzieje! Zachodzi ono tu z przodu, a wschodzi znów tam z tyłu,» odzywa się młodziuchny autor «Harzu (*Harzreise*) do dziewczyny, zadumanej na widok konającego w ostatnich blaskach słońca.

To nie jest uśmiech lecz śmiech, trącący już szyderstwem. Taki sam śmiech rozlega się na wszystkich kartach pierwszego «Obrazu,» nicując, co napotka, przedrzeźniając, co się tylko da: miasto, profesorów, naukę, chrześcian, żydów itd.

Ten niemiłosierny, ostry, zabójczy, później cyniczny i zgniły śmiech był nowością w literaturze niemieckiej. Jest on wyłączną własnością Heine'go. Wyszukuje on z przyjemnością każdą nieprawidłowość, lubuje się nią i oświetla z wszystkich stron. Istotą jego jest bezwzględna krytyka, a środkiem genialna, efektowna igraszka słów. Dlatego nie działa prawie wcale w obcym języku.

Umysł Heine'go nie zawierał w sobie pierwiastków, potrzebnych do wytworzenia prawdziwego humorysty. Urodzony bezwyznaniowiec nie wierzył w ideały ludzkości, urodzony kosmopolita nie kochał swych współziomków; potomek plemienia, deptanego od wieków, a pozbawionego szerszych dążności narodowych, umiał być tylko «niezadowolonym» z wszystkiego, co zastał na ziemi. Ztąd owo przeczenie dla samego przeczenia, owa «beznadziejna negacya,» która się w końcu przeciw samemu Twórcy zwróciła, gdy zabrakło ludzi i przedmiotów do wyśmiewania.

Przeczenie jest głównym rysem charakterystycznym t. z. humoru heinowskiego. Butna dykcya młodości, siła oryginalnego stylu osłabiała zrazu ostre kontury tego czynnika, występującego wybitnie dopiero w drugiej połowie działalności pisarskiej Heine'go. On to, ów złowieszczy dźwięk nie pozwolił autorowi «Obrazów» wybić się na wyżyny autora narodowego, bo, co dziś złączył, rozrywał jutro, rozmiłowany w burzeniu dla samego burzenia.

Niemoc ta uwydatniła się najpochwytniej w poezyach tendencyjnych autora «Księgi pieśni.»

Około r. 1840 pogrzebano ostatecznie romantyzm z «niebieskim kwiatem, liliami rosnącemi nad Gangesem z promieniem księżycowym, słowem z całym fantastyczno-średniowiecznym aparatem.

Na widowni publicznej stanęli nowi ludzie, młodzi, silni, mezcy, wierzący w przyszłość ludów germańskich, w wielkość i swobodę polityczną.

Dość było kwilenia, szlochania, kochania, marzenia, łudzenia się, dość uroczych, miękkich piosenek o miłości i jej cierpieniach, o nędzy tego świata i jej smutkach. Bądźmy mężczyznami, swego narodu przewodnikami, lepszych, jaśniejszych czasów głosicielami. Za mało to posiadać talent. Pisarz powinien także być człowiekiem z charakterem, z świadomością swego posłannictwa i z godnością osobistą. Nie wolno mu poświęcać szczęścia swego narodu dla czczej słów igraszki, lub prawdy dla pięknego obrazu albo dźwięcznego rymu.

W ten sposób odezwał się cały szereg młodych poetów, znanych pod nazwą liryków politycznych (Herwegh, Prutz, Dingelstaedt, Hoffman von Fallersleben, Freiligrath, Waldau, hrabia Strachwitz i inni).

Hasło to było naturalnym wynikiem tego, co się działo między r. 1826 a 1840. Sam Heine przygotował dla niego drogi. Jego śmiech uprzątnął wiele gruzów, zniszczywszy poprzednio, co się już ostać nie mogło. Był on przednią strażą nowego kierunku, którego właściwa armia już nadciągała.

Przywykły do przodowania od swego pierwszego występu, uwidział sobie, że powinien i tym razem iść przodem, jako wódz, jako rozkazodawca.

Schlage die Trommel und fuerchte ich nicht,
Und kuesse die Marketenderin,
Das ist die ganze Wissenschaft
Das ist der Buecher tiefster Sinn.

Trommle die Leute aus dem Schlaf,
Trommle Reveille mit Jugendkraft,
Marschiere trommelnd immer voran,
Das ist die ganze Wissenschaft.

Das ist die Hegel'sche Philosophie,
Das ist der Buecher tiefster Sinn,
Ich hab sie begriffen, weil ich gescheit,
Und weil ich ein guter Tambour bin.
(tom XVII. str. 215).

«Uderzaj w bęben, nie obawiaj się niczego i całuj markietankę. Oto cała mądrość, oto najgłębsza treść książek.»

«Wybębnij ludzi ze snu, bębnij pobudkę młodości, idź zawsze przodem, bębniąc ciągle. Oto cała mądrość.»

«Oto filozofia Hegel'a, oto najgłębsza treść książek. Ja ją pojąłem, bo byłem sprytnym (*gescheit*), i ponieważ jestem dobrym doboszem.»

Wierszem tym rozpoczyna Heine wiązankę swych poezyj tendencyjnych (*Zeitgedichte*), które napisał między r. 1839—1846. Nawet tu nie zapomniał o «markietance» i o «całowaniu.»

Omylił się! Młodzi poeci nie myśleli już ani o markietankach, ani o całowaniu, ani o bębnieniu. Całowanie i markietanki przekazali innym, a bębnienie zamienili na nawoływanie do krwawego boju, do ataku. Nabębnił się dosyć Heine. Potrzeba teraz innej pobudki, bo pieśni: wiary nadziei i miłości, aby wrócić cześć ideałom, które «dobry dobosz» chciał koniecznie zabębnić. Przeto nie poszedł już nikt za doboszem, za wrzawą bez treści, za krytyką bez programatu dodatniego, za głosem przeczenia Przeminęły bezpowrotnie czasy negacyi.

Tego nie mógł Heine zrozumieć, choć się sam sprytnym nazwał. Jemu zdawało się ciągle, że bębnienie jeszcze wystarcza- I bębnił po swojemu. Zaraz w drugim poemacie tendencyjnym (*Adam der Erste*) wojuje z Bogiem, jak przed piętnastu laty:

Du schicktest mit dem Flammenschwert,
Den himmlischen Gendarmen,
Und jagtest mich aus dem Paradies,
Ganz ohne Recht und Erbarmen!

Ich ziehe fort mit meiner Frau
Nach andern Erdenlaendern;
Doch dass ich genossen des Wissens Frucht,
Das kannst du nicht mehr aendern.

Du kannst nicht aendern, dass ich weiss,
Wie sehr du klein und nichtig,
Und machst du dich auch noch so sehr,
Durch Tod und Donner wichtig itd.

«Posłałeś żandarma niebieskiego z mieczem płomienistym, wypędziłeś mnie z raju bez prawa i miłosierdzia.»

«Ruszam sobie z żoną moją do innych krajów ziemi, lecz mimo to nie możesz mi odebrać świadomości dobrego i złego.

— «Nie możesz mi zabrać swiadomości swej małoduszności, choć udajesz potężnego, rozporządzając śmiercią i piorunami» itd.

Był to stary oklepany głos. Znał go i powtarzał każdy żaczek niemiecki. Nie zachwycił ani zadziwił już nikogo oryginalnością czczego, bluźnierczego paradoksu. Inaczej śpiewali młodzi poeci. Pieśń ich, pełna wiary w jutro i miłości do narodu, wzbijała się wysoko i rozbrzmiewała szeroko. Serce germańskie, zmęczone ciągłem przeczeniem Heinego, zatęskniło do zwrotek dodatnich pożywnych, męzkich, zdrowych. Ludzie sprzykrzyli sobie zgryźliwe szyderstwo i zgniłe cynizmy starzejącego się sybaryty.

Henryk Heine zdziwił się, że mu w «ojczyźnie» nie klaskają, a kiedy jego zdziwienie nie wstrzymało pochodu nowych pojęć, wtedy zanurzył swe pióro w żółci, w goryczy, w jadzie i napisał cały szereg t. z. poematów tendencyjnych, w których odsłonił w całej nagości swój umysł ujemny, przechodzący już w stan rozkładu.

Nicht mehr barfus sollst du traben,
Deutsche Freiheit, durch die Suempfe,
Endlich kommst du auf die Struempfe,
Und auch Stiefel sollst du haben!

Auf dem Haupte sollst du tragen
Eine warme Pudelmuetze,
Dass sie dir die Ohren schuetze
In den kalten Wintertagen.

Du bekömmst sogar zu essen —
Eine grosse Zukunft naht dir —
Lass dich nur vom welschen Satyr
Nicht verlocken zu Excessen!

Werde nur nicht dreist und dreister!
Setz nicht den Respekt bei Seiten
Vor den hohen Obrigkeiten
Und dem Herren Buergermeister.
(tom XVII. str. 230).

Rzeczywiście, dziwić się należy, że poeta tak na wskroś cyniczny, marzył kiedykolwiek o godności reformatora społecznego. Z wszystkich poezyj tendencyjnych sączy: żółć, jad niewiary, w końcu błoto. W wiązance tej znajdują się także między innemi owe «Hymny na uczczenie króla Ludwika Bawarskiego» (*Lobgesänge auf König Ludwig*), w których się Heine odpłacił monarsze sowicie za to, że mu kiedyś odmówił katedry profesorskiej w Monachium.

Dopóki w Niemczech nie mówiono o wolności, «bębnił» Heine na alarm, wołając ciągle: swoboda, równość, braterstwo! A teraz, kiedy się nowe pokolenie domagało daleko śmielej właśnie tego, czego on żądał, wyszydzał hasła swej młodości, śmiejąc się z «marzycielów», którzy wierzyli w lepsze juro. Poeta tendencyjny, nicujący swe własne tendencye, przeczenie przeczące sobie samemu — jest chyba bardzo ciekawem zjawiskiem.

Na progu nowej epoki, do której nadejścia pomógł bezwiednie, żałuje Heine bezpowrotnie pogrzebanej przeszłości. «Romantycy kochali w kwiecie tylko woń, — pisze w luźnych uwagach, wydanych dopiero po śmierci — a nasze czasy szukają w niem kiełkującego owocu. Ztąd owa skłonność do praktyczności, do prozy... Najpiękniejszemi kwiatami umysłowości niemieckiej są: filozofia i pieśń. Epoka tego rozkwitu przeminęła; potrzeba jej ciszy sielankowej. Potężny ruch uniósł z sobą Niemcy; myśl przestała być samolubną, bo w jej sen oderwany wpadł brutalny czyn. Lokomotywa sprawia w nas jakieś drżące usposobienie, nie sprzyjające pieśni; dym węgla kamiennego płoszy ptastwo, a wyziewy oświetlenia gazowego zanieczyszczają woń nocy księżycowej.» Albo (tamże): dlaczego opiewać różę, arystokratów! Piej raczej hymny na cześć demokratycznego ziemniaka, który karmi lud.»

W ten sposób odzywał się człowiek, który powtarzał ciągle, w każdej przedmowie, że: jest najczerwieńszym rewolucyonistą, że nową zwiastuje erę.

Heine łudził się, był on bowiem tylko po wszystkie czasy romantykiem i szydercą. Romantyk tworzył arcydzieła liryczne, a szyderca wyśmiewał bez planu, często nawet bez potrzeby.

Ta jego dwulicowość, ta dziwna kłótnia między poetą a publicystą, między marzycielem a cynikiem, między zachwytem a świadomością, uwydatniła się najplastyczniej w fragmencie «Atta Troll» (*Atta Troll. Ein Sommernachtstraum*; 1841—1842 r.; tom XVII). Miała to być satyra na ówczesne stosunki polityczne Niemiec, a stała się mięszaniną westchnień iście romantycznych i wycieczek publicystycznych.

Traum der Sommernacht! Phantastisch,
Zwecklos ist mein Lied. Ja, zwecklos
Wie die Liebe, wie das Leben,
Wie der Schöpfer sammt der Schöpfung!

Nur der eignen Lust gehorchend,
Gallopierend oder fliegend,
Tummelt sich im Fabelreiche
Mein geliebter Pagazus.

Ist kein nuetzlich tugendhafter
Karrengaul des Buergerthum's,
Noch ein Schlachtpferd der Parteiwuth,
Das pathetisch stampft und wiehert!

. . . .
. . . .
Trage mich durch stille Thäler,
Wo die Eichen ernsthaft ragen
Und dem Wuerzelknorrn entrieselt
Uralt suesser Sagenquell! itd.
(rozdział III).

«Śnie nocy letniej! Fantastyczną i bezcelową jest pieśń moja. Tak, bezcelową, jak miłość, jak życie, jak Stwórca z całem stworzeniem!»

«Tylko własnym zachciankom posłuszny, galopując lub płynąc, pędzi mój ukochany pegaz przez krainy legend i baśni.»

«Nie jest on użytecznym, cnotliwą szkapą, zaprzężonym do taczki mieszczaństwa, ani wojennym rumakiem nienawiści stronniczych, który bije patetycznie kopytami i rży.»

«O! nieś mnie, pegazie mój, przez ciche doliny, kędy dęby poważnie szumią, kędy z korzeni drzew wytryska odwieczne, słodkie źródło baśni!»

Takich zwrotek nie powstydziłby się najzacieklejszy romantyk; zawierają one w sobie cały programat Schlegel'ów. «Odwieczne, słodkie baśnie» przeplótł Heine mnóstwem wycieczek przeciw urządzeniom społecznym swego czasu. Atta Troll, buntowniczy, rewolucyjny niedźwiedź miota się na Boga, na ludzi, na rządy, w końcu nawet na własność, bo przecież nie «rodzi się nikt z kieszeniami...» Liberalizm, saint-simonizm, ateizm, tęsknotę za «niebieskim» kwiatem, słowem, najrozmaitsze pierwiastki pomięszał autor tego fragmentu, nie troszcząc się wcale ani o kompozycyę, ani o logiczność treści. Podobnie bezładnego, a mimo to miejscami niezwykle pięknego poematu nie posiada żadna inna literarura świata.

Była to ostatnia fantazya romantyczna w Niemczech. Twórczość germańska poszła po r. 1840 zupełnie innemi drogami. Wiedział o tem sam Heine, gdy skarżył się w dedykacyi dla Varnhagena, zamykającej tem fragment:

Ach, es ist vielleicht das letzte,
Freie Waldlied der Romantik!
In des Tages Brand-und Slachtlärm,
Wird es kuemmerlich verhallen.
(rozdział XXVII).

«Jest to może ostatnia pieśń romantyzmu. przeminie ona bez wrażenia, zagłuszona wrzawą wojenną białego dnia.»

Przeminęła rzeczywiście bez wrażenia, mimo swych prawdziwych zalet, oceniona dopiero należycie przez potomnych. Bolało to Heine'go, który, przywykłszy zbyt młodo do nieustannych oklasków, nie umiał znieść z godnością chwilowego niepowodzenia. Zemszczę się na «filistrach» niemieckich, wyrzekł i dotrzymał słowa.

Opisał on w r. 1844 swą podróż z Paryża do Hamburga w poemacie satyrycznym p. t. «Niemcy» (*Deutschland, ein Wintermärchen*; tom XVII), w którym wylał na swą «ojczyznę» i na swych nieprzyjaciół pełen kubeł cuchnących pomyj.

Ten trywialny poemat, niedbały w formie, ordynaryjny w wyrażeniach i nienawistny w treści, chybił zupełnie celu. Heine chciał Niemcom pokazać, że umie jeszcze szydzić, że nie stracił dawnych zębów i pazurów, mniemając, że przestraszy w ten sposób swych przeciwników. Sztuka nie udała się! Ramota ta dobiła go ostatecznie w opinii ludzi szlachetniejszych. Nawet jego najgorliwsi wielbiciele zwrócili się teraz przeciw niemu.

IX.

Zakończenie.

Henryk Heine spoczywa już dawno pod ziemią francuzką, ale duch jego pokutuje dotąd, niepokojąc umysły młode, którym się zdaje, że wychyliły czarę życia do samego dna, w pierwszej zawiodłszy się miłości.

Pesymistyczny uśmiech, ów «weltszmerc» heinowski, szpeci niejedne usta, stworzone do wygłaszania hymnów i do opiewania wielkich czynów narodu.

W przejściowych bowiem ciągle żyjemy czasach.

Rewolucya francuzka z końca przeszłego stulecia, rozbiwszy dawny porządek, rzuciła między ludzkość mnóstwo pytań, życzeń i zagadek, których znaczna część czeka na dostateczne rozwiązanie.

Stare społeczeństwo, oparte na przywilejach stanów, przeminęło, a nowe państwo nie znalazło jeszcze dla siebie najwłaściwszej formy. Dawny kościół rozrzucono, a «lepszy» zapowiadany tak głośno, nie stanął na miejscu tego, który «rozum pokonał.»

Do tego zamętu polityczno-społecznego dorzucił materyalizm swe cynizmy, a pesymizm swe skargi niemocne. Wypłoszono z serca ludzkości wiarę w nadprzyrodzony początek stworzenia, w celowość wszelkich czynności; wyśmiano wolną wolę w granicach działalności doczesnej; zrobiono z jednostki bezwiednie, bez świadomości poruszającą się sprężynkę, a z świata olbrzymią fabrykę, pracującą bezmyślnie; wytłómaczono, słowem, pozornie wszystko środkami poznawia przyrodzonego.

Pozornie — bo w istocie dodano do ogólnego chaosu pojęć, uczuć i dążeń, sporą garść nowych, nieznanych wątpliwości, powiększających niepokój młodzieży, pragnącej koniecznie pełnej wiedzy dobrego i złego. Obiecywano nam dużo, a dotrzymano niewiele. Pewniki naukowe, nieomylne, jak liczby, mieliśmy wziąć z rąk umiejętności nowożytnej, a odebraliśmy tylko metodę i klątwę: *ignorabimus*.

Na tem skończyła się zacięta wojna rozumu z wiarą — wojna, trwająca przez kilka pokoleń.

Nie pierwsi jesteśmy i nie ostatni. Bywało już tak nieraz w dziejach cywilizacyi i powtórzy się jeszcze nieraz.

Tymczasem jednak, dopóki się porządek społeczeństwa nowożytnego nie ustali, musi każdy młodzieniec przebyć ową chorobę, ów trąd, który Heine nazwał «weltszmercem.»

Trują nas już w szkołach młodzi profesorowie, przybywający świeżo z uniwersytetów; zaszczepiają w nas niewiarę i pesymizm docenci i dziennikarze, książki i czasopisma. Jeszcze nie doświadczyliśmy niczego, nie odczuliśmy żadnego silniejszego wrażenia i wzruszenia, a już uśmiechamy się tak mądrze, tak staro, tak pogardliwie, jak gdybyśmy zbadali, widzieli, rozumieli i zbrzydzili sobie wszystko. *Nil admirari* stało się hasłem «żółtych dzióbków,» które nie miały nawet czasu do podziwiania czegokolwiek. Zapał, zachwyt, podniosłość uczuć! — ktoby tam myślał o takich «dzieciństwach?» Kiedyś to było dobre, ale dziś?..

Któż z nas tego nie doświadczył? Przechodziliśmy wszyscy te same przemiany rozwoju umysłowego, zaczynając od przeczenia, od krytyki, zamiast od twierdzenia, od wiary młodości.

A gdy nadeszły chwile przedwczesnego zwątpienia, jak inaczej być nie mogło, wtedy nie uciekaliśmy się pod skrzydła: Schillerów, Mickiewiczów i Wiktorów Hugo, lecz chwytaliśmy za księgi: Heine'ych, Schopenhauer'ów, Hartmann'ów. Zatrutemu smakuje najwięcej trucizna, tém milsza, im słodsza.

A słodką zaprawdę jest trucizna Heine'go. Rymy jego pieszczą ucho, dowcipy bawią, rozśmieszają, cynizmy olśniewają, jak nikłych rac snopy ogniste. Heinego czyta się łatwo, przyjemnie; tak łatwo i tak przyjemnie, że się nie myśli nawet o zgłębianiu treści. Któżby się zastanawiał nad znaczeniem szmeru strumyka? Miły on dla ucha. To dość...

Bo rozpatrzywszy się dobrze w całej działalności Heine'go tak prywatnej, jak publicznej, cóż z niej zostanie dla potomnych?

Życie jego osobiste nie może pobudzić nikogo do naśladowania, gdyż niema chyba człowieka na kuli ziemskiej, którykby pragnął tak umrzeć, jak on. Skonać na polu bitwy w chwili wielkiego zapału, wśród ogłuszajacego grzmotu dział i szczęku broni; zmarnieć gdzieś w świecie, podczas dalekich podróży, odbywanych w celach naukowych; zginąć w końcu czy w obronie kochanki, czy też przyjaciela — oto rodzaje śmierci, o których marzy niejeden młodzieniec. Ale «grobu z materaców» nie życzy się nawet największemu wrogowi.

Nie przypadek, nie choroba, odziedziczona po przodkach, nie nadmierna praca, rzuciły Heine'go na łoże długoletniej boleści. On sam był sprawcą swego nieszczęścia. Lubieżny, zmysłowo namiętny od najpierwszej młodości, wyniszczał się świadomie, nie umiejąc zapanować nad sobą. Już nie mógł się ruszać, już przykuła go straszliwa niemoc do fotelu, a on pożądał jeszcze rozkoszy miłosnych, o nich tylko marząc, w wspomnieniach ich się lubując.

Jeźli taki Henryk von Kleist odbiera sobie życie wystrzałem z pistoletu z żalu do narodu, który go nie chce uznać; jeźli inni piją i zapijają się z nędzy lub z rozpaczy dlatego, że nie mogą dojść do równowagi serca i umysłu, to spada na mogiły ich słusznie łza szlachetnego współczucia; lecz któż może zapłakać nad grobem Heinego, gdy sobie uprzytomni powody, które go do niego wtrąciły?

Przedwczesny jego zgon nie jest tragicznym. Można go nazwać jedynie przykładem odstraszającym. Nie żyj tak, jak Heine, aby ci tak nie poszło, jak jemu...

I nie działaj tak, jak Heine, abyś nie doznał jego zawodów. Nie bądź tchórzem politycznym, jak on, jeżeli chcesz stanąć na czele stronnictwa; nie przyjmuj dla karyery wiary, którą gardzisz; nie plwaj na innych, gdy sam nie jesteś bez winy.

W całem życiu Heine'go niema ani jednej czynności podniosłej, szlachetniejszej, bohaterskiej. Był to samolub, kochający tylko siebie i myślący tylko o sobie. Posiadał on jedyną zaletę: nie przywiązywał się do pieniędzy. Dlatego, gdy zaspokoił swe własne potrzeby i zachcianki, nie odmawiał pomocy uboższym od siebie.

Jako charakter nie może Heine posłużyć nikomu za wzór. A przecież bywają i artyści ludźmi wielkiej duszy i wielkiego serca. Co więcej, pewnikiem jest, że z naczynia brudnego nie tryśnie nigdy potok czysty, przezroczy. Schiller był człowiekiem na wskroś szlachetnym.

A Heine'go nazwał nawet jego współplemiennik, nawet Bertold Auerbach, broniący gorliwie wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z żydami, arcyszubrawcem (*Erzlump*).

A jego dzieła? Odjąwszy trzy pierwsze «Obrazy z podróży», (*Harzreise, Norderney, das Buch le Grand*), jedną nowelkę (*Florentinische Nächte*) i «Księgę pieśni», które mają prawo do nieśmiertelności, to cóż reszta warta? Korespondencye polityczne i drobne, ulotne artykuliki nie zasługują wcale na pamięć, a znaczna część poezyj, napisanych po r. 1830, zaszkodziła raczej twórcy swemu, nie przyczyniając się w niczem do utrwalenia jego sławy. Z prac naukowych możnaby wyróżnić jedynie «Szkołę romantyczną», lecz znaczenie i tej rozprawki, swego czasu odpowiadającej potrzebom francuzów, obniżyło się dziś bardzo z pogłębieniem umiejętności historyczno-literackiej. Nawet nad Sekwaną piszą obecnie daleko lepsze studya o literaturze niemieckiej.

Zaledwo trzy grubsze tomiki zapełniłyby niespożyte płody umysłowe Heine'go. Zbyt małe to żniwo, gdy ktoś wziął z rąk Opatrzności tak wielki talent, jak autor «Księgi Pieśni». Skończyły się bowiem czasy, kiedy geniuszom wolno było próżnować. I praca jest... zasługą.

A zastanowiwszy się nad dziełami nieśmiertelnemi Heine'go, to cóż w nich godne pamięci i naśladowania? Nie treść, bo ta płynie bardzo wązkiem korytem, lecz jedynie forma.

Znakomitym wzorem do felietonu są «Obrazy z Podróży,» wyborną szkołą wierszowaaia są «pieśni». Kto widzi w wdzięcznych rytmach i rymach, w genialnie-kapryśnem ustawieniu wyrazów i zwrotów całą istotę poezyi, ten niech spieszy w naukę do mistrza Heine'go, bo skorzysta bardzo wiele. Nikt nie panuje lepiej nad techniką poetycką, jak autor «Księgi pieśni.» Nie wyrównał mu w tym względzie żaden z poetów XIX. stulecia. Wszystko, co można zrobić z językiem, aby go nagiąć do wyrażenia najtkliwszego uczucia i najpowiewniejszego znaczenia, tego dokonał Henryk Heine. Nikt nie oddał tak dobrze tęsknoty i żalu, jak on; należy mu się w tym kierunku nietylko uznanie, lecz nawet podziw.

Lecz jestże mistrzowska forma najprzedniejszą zaletą poezyi? Tak się może zdaje różnym piosenkarzom i naśladowcom Heine'go, ale historyk literatury żąda czegoś więcej.

Ktoby zaś chciał się przejąć treścią poezyi heinowskiej, musiałby dojść po uważnem zbadaniu całego jej przebiegu, do tego samego wniosku, do którego wiedzie życie prywatne autora «Księgi pieśni.» Nie myśl tak, nie wierz tak, jak Heine, abyś nie zaczął posłannictwa swego w błękitach, a skończył w błocie.

Poeta — to kapłan. Nie jego rzeczą bawić ludzi zwyczajem pajazza. Nawet satyryk, nawet pisarz humorystyczny nie jest możliwym bez miłości do ludzkości, bez wiary w jej cele, bez nadziei lepszych, jaśniejszych dni. A kto nie posiada tej: wiary, miłości i nadziei, ten musi zmarnieć, jak zmarniał Henryk Heine, mimo talentu pierwszorzędnego.

Warszawa, marzec i kwiecień 1884 r.

BAL MASKOWY.

Z DZIENNIKA MŁODEJ MĘŻATKI

przez

Ernesta Ecksteina.

(Dokończenie).

Wypadek ten wzruszył również Rudolfa — spytał nieco wahająco.

— Czy jesteś pani zamężną?

— Przeszkadzałobyż to panu? — odparłam ile możności zimno.

— Wcale nie — chciałbym wiedzieć tylko.....

— Dlaczego?

— Bo wtedy trzeba przedsięwziąść ostrożność podwójną. Właśnie zdawało mi się jakoby.....

— Wiem, co pan chcesz powiedzieć. Szkarłatne domino.... Bądź pan całkiem spokojny. Jestem zamężną, ale mąż mój nie bywa na balach maskowych.

— Mógłby uczynić to w tajemnicy. Zresztą pytam się tylko ze względu na panią, bo co do mnie, nie lękam się z tym, który ciebie udręcza zmierzyć oko w oko.

Zaparłam oddech w piersi. Ach! i to także!

Po chwili rzekł:

— Znowu widzę szkarłatne domino. W każdym razie niedyskretna osobistość. Ostrożność nie zawadzi. Czy zgodziłabyś się pani na prośbę moją?

— Chętnie.

— Chodźmy do zimowego ogrodu! Tam nikt nam nie przeszkodzi. Ach! a tak pragnę w końcu ujrzeć to oblicze, które pod zasłoną jeszcze natchnęło mnie namiętną miłością. Drzwi te wiodą do weneckiego pokoju, zkąd wyjście jest na kurytarz. Idź pani naprzód, udam się za tobą przez główną salę.

Pod wpływem nieokreślonego uczucia poszłam wskazaną drogą. Nikt mnie nie spostrzegł.

W ogrodzie zimowym zaledwie kilka par snuło się tu i owdzie. Zwróciłam się do najdalszego kąta, gdzie przyćmione światło elektryczne robiło złudzenie księżyca. Z skrzyżowanemi rękoma kroczyłam między palmami jak — śmiało rzec mogę — lwica w klatce! Chciała byłam podrzeć w kawałki, zgnieść, zmiażdżyć świat cały, małżonka mego i siebie! A czułam bezsilność i nieporadność. Okropne położenie.

Po trzech minutach ozwały się zbliżające kroki.

W niebieskawym blasku światła elektrycznego ujrzałam szafirowe domino z szarfą, kroczące zwolna pomiędzy wawrzynami.

— Uspokój się biedna Alido! — rzekłam do siebie. Bądź cierpliwą! Musisz się wszystkiego dowiedzieć, musisz poznać do jakiego stopnia jesteś nieszczęśliwą!

W istocie — zapragnęłam kielich wychylić do dna. Powinien wyznać, że żony swej nigdy nie kochał, że największą ma uciechę zdradzać ją dzisiaj, że — że—ciągnij dalej ty obłudniku.

Przyszedł. Pochwycił mnie jak pierwej za rękę i pociągnął w zagłębienie, gdzie nas nikt nie mógł zobaczyć. Tam ukląkł i głosem bezwdzięcznym, zmienionym z namiętności mruknął:

— Nieznajoma! Kocham cię do szaleństwa!

Raptem coś poruszyło się w krzakach. Szkarłatne domino stanęło przed nami, położyło mu rękę na ramieniu, mówiąc głucho:

— Chodź zemną mój panie!

Zerwał się żywo.

— Co to ma znaczyć? — zapytał w pogróżką — głosem zupełnie mi nie znanym, tak wzruszenie go przeraziło.

— To ma znaczyć — rzekł szkarłatny demaskując się, iż nędznika, który żonę moją prześladuje oświadczeniem miłości ukarać potrafię.

Sądziłam, że w ziemię się zapadnę. Cóż za piekielne kuglarstwo ogarnęło me zmysły? Szkarłatny, który z zmarszczonem czołem stał teraz przedemną nie był nikt inny jak tylko Rudolf.

— A ty — Rudolf zwrócił się ku mnie — poczekasz tu aż powrócę — z miejsca się nie ruszysz! Słyszałem wszystko! Najpierw on, potem ty, to zwykła kolej obrachunku!

— Rudolfie — zaklinam cię na Boga! — zawołałam na pół ogłuszona, gdyż w żaden sposób nie mogłam sobie wytłumaczyć całego zajścia. Przysięgam ci Rudolfie! To nieporozumienie..... żart!

— Żart—powtórzył szyderczo. Kto co lubi! Są żarty krwi żądające! Poczem rzekł do szafirowego domina, które wzięłam za Rudolfa:

— Jeszcze raz: Chodź pan za mną! Nie obawiaj się nieprzyjemnej rozprawy! Chcę tylko widzieć twarz pańską i pańską kartę. Resztę powinno się w przypisany sposób uregulować.

— Jestem do usług — rzekł szafirowy.

I odwrócił się do odejścia.

— Rudolfie — łkałam torturowana niewymowną trwogą. Przysięgam ci!.. Powinieneś dowiedzieć się wszystkiego! Pozory mówią przeciw mnie, ale jak prawdą jest, że żyję...

Odtrącił mnie od siebie.

Tymczasem szafirowy wyjął pugilares, dla wyszukania w nim karty. Gdy przewracał w przegródkach papier jakiś wypadł mu na podłogę. Rudolf rzucił się nań łapczywie, a był to bilet, który w obecności baronowej napisałam.

— Proszę! — rzekł szafirowy ostro.

Byłam zaledwie żywą. Czyżby pani Ilowska zadrwiła ze mnie niegodnie? Czyżby bilet wysłała pod innym adresem? Ale nie, bo wszakże w sali balowej Rudolf rozmawiał ze mną, Rudolf nikt inny, poznałam go dokładnie po głosie, ruchach i obejściu. A teraz... Niepojęte!

Nie miałam czasu rozmyślać nad zagadkową sytuacyą.

Szafirowy, który był ciągle w masce, przystąpił do Rudolfa w kategorycznych słowach żądając oddania biletu.

— Przykro mi — rzekł Rudolf szyderczo, lecz bilet pisany jest ręką tej damy, co upoważnia mnie do konfiskaty.

Poczem zwrócony do mnie zawołał strasznym głosem:

— Mów! Pisałażeś ty kartkę?

— Tak — ale — to jest...

— Dosyć — przerwał Rudolf. Po raz ostatni: Usłyszęż pańskie nazwisko? Dlaczego zwlekasz?

— Oto jest! — odparł nieznajomy, podając zimno mu kartę.

Z zmarszczonem czołem Rudolf odczytał ją.

— Dobrze! — rzekł. Proszę poczekaj pan pod palmami, przyjdę niebawem.

I oddalił się.

— Nieszczęśliwy szaleniec! — westchnął szafirowy niby do siebie, lecz tak głośno, że słyszeć go mogłam. Jest prawie nieprzytomny — nie ustąpi — i — — — będę musiał go zabić! Okropność! Piąty już w tym roku!

Nie czekałam dłużej. Zbliżyłam się do nieznajomego i rozpaczliwie chwyciłam go za rękę.

— Mój panie — rzekłam, jeżeli jesteś człowiem honoru, posłuchaj wyznania nieszczęśliwej. Nie wiem wprawdzie jakim sposobem wszystko się tak powikłało, ale umieram z trwogi i z wstydu, i gdy pomyślę, iż mój mąż miałby się bić!....

W urywanych słowach opowiedziałam mu wszystko, on jednak gwałtownie potrząsł głową.

— Takiej słabości, takiego tchórzostwa nie spodziewałem się nigdy — rzekł ozięble. Zapierasz się pani tego, co wyznawałaś przed chwilą. A więc nie będę miał żadnego względu! Kobieta porwana namiętnością, wydaje się wzniośle nawet gdy grzeszy, lecz swawola i nędzna zabawka — ach! to szkaradne rzeczy! Odskoczył odemnie i poszedł. Bliska omdlenia upadłam na sąsiednią ławeczkę nie zdolna do niczego, złamana i niepocieszona. W minutę później Rudolf z nieznajomym ramię w ramię zbliżył się ku mnie główną aleją.

— Alido! żoneczko moja! — zabrzmiało mi jak chór anielski do ucha. Nie bierz żartu nazbyt do serca! Ale na trochę kary zasłużyłaś.

Powstałam szybko. Szafirowy zdjął maskę i skłonił mi się głęboko. Był to Paweł, kuzyn mego męża, Paweł Zelan, który sądziłam, że przebywa w Paryżu.

— Przebacz kochana kuzynko — rzekł, lecz Rudolf prosił mnie tak usilnie, iż musiałem usłuchać.

— O! — zawołałam w najwyższem pomieszaniu. Powinnam była się rozgniewać, w głębi serca wszelako czułam się nadto szczęśliwą, by módz z powodzeniem grać rolę obrażonej, zwłaszcza iż wyrzucałam sobie ów nierozsądny bilet.

— Widzisz duszko — rzekł Rudolf, pociągając mnie ku sobie, gdybyś jeszcze kiedy zapragnęła męża sprowadzić na bezdroże, w takim razie wybierz przynajmniej na list anonimowy ćwiartkę, na której nie będzie zaczętej epistoły do twojej mamy. Muszę ci przyznać: charakter pisma zmieniłaś mistrzowsko, ale tu: patrz.

Rozłożył bilet mi przed oczyma, a ja odczytałam:

«Droga mamo!

«Byłabym dawno zgłosiła się, gdyby nie Rudolf....»

Czwarty czy piąty wstęp owych pozaczynanych listów. Bóg raczy wiedzieć jakim sposobem wybrałam właśnie tę nieszczęśliwą ćwiartkę.

Spuściłam oczy zawstydzona.

— Jednak — wyjąkałam, brzydko to z twej strony... Gdyby nie pani Ilowska.

— Wiem — wiem — przerwał — Paweł opowiadał mi właśnie twoje wyznanie. Umrzeć można ze śmiechu!

— Tak — ale cóż chcesz — rzekłam płaczliwie. W gruncie nie myliła się bardzo, a gdy pomyślę z jaką naturalnością grałeś Don Juana.... Bo ty nim przecież byłeś i dopiero później zmieniliście domina...

— Rzeczywiście, dopiero później lecz wiedziałem, że to mej ukochanej ślicznej żonusi prawię grzeczności, dlatego byłem tak naturalny.

— Jakże jesteś dobrym, kochanym! Święcie przyrzekam ci...

— Daj spokój duszko! Pozwoliłaś się obałamucić baronowej, przy pierwszej sposobności zapłacę jej za to. Teraz na odwrotnej stronie napiszę do niej *bilet — doux*.

— Nie! nie — na miłość Boską! — przerwałam.

— Masz już więc dość korespondencyi?

— Więcej jak dość! Dziękuję ci, żeś mnie tak gruntownie wyleczył! Ale kochanemu naszemu kuzynowi to popamiętam — ten nie miał wcale powodu—i gdy sobie wyobrażę jak uśmieje się moim kosztem i w klubie sensacyjne historye opowiadać będzie.....

— Cóż myślisz! Gdyby był Paweł nie zaręczył mi słowem, że cała rzecz pozostanie między nami.... A zresztą zapoznajesz go! Przeobraził się bowiem zupełnie! Niedowierzenia a jednak prawda: Paweł Zelan «bon viveur» przed kilkoma dniami zaręczył się z uroczą Holenderką.

— Ta mnie pomści!—rzekłam, oddychając głęboko,—ostrą służbę powinna zaprowadzić. Tymczasem przyjm pan moje serdeczne życzenia!

Podałam rękę panu Zelan i wolna od troski, która przez tyle dni cetnarowym ciężarem ugniatała mi serce, udałam się do jadalnej sali, gdzieśmy w trójkę najmilszą kolacyą spożyli.

Wychyliliśmy właśnie toast na cześć przyszłej kuzynki, gdy baronowa Ilowska zaszeleściła obok, sadowiąc się przy sąsiednim stoliku wraz z Sebottendorfem. Zdziwione jej wejrzenie zdawało się pytać: Jakto? — Zatem mimo wszystkiego? Wpadł w łapkę i ty mu tak szybko przebaczasz? Nie wiedziała nic o całem przejściu.

A teraz — zapytasz pewnie — cóż się stało z zakładem?

Rzecz nieco zawiła! Właściwie nikt nie wygrał ani nie przegrał, gdyż przypuszczenie zakładu nie miało miejsca. Wszelako za karę mego szaleństwa postanowiłam do bazaru hrabiny Brukner dać cos takiego, coby wyrównało wartości wiadomej branzolety.

Na tem kończę dzisiaj! Są rzeczy droga Olesiu, z któremi człowiek nie może igrać bezkarnie. Szczęśliwy komu nauka udzieloną bywa w tak niewinnym kształcie, jak twej zadowolonej przyjaciółce — Alidzie!..

ZE LWOWA.

Dokończenie.

Główny front, między owemi dwoma piętrowemi domami stojący, tem się od nich różni, że do jego drzwi wchodowych prowadzą bogate, ciosowe, podwójne schody, w jeden się balkon łączące. Dalej, że po nad górnym gzymsem, na murowanym postumencie zamieszczono kolosalną statuę św. Jerzego, z kamienia.

Wnętrze katedry nic szczególnego nie przedstawia. Jest w niej 6 pomnikowych tablic z portretami tutejszych arcybiskupów, między niemi kardynała Lewickich i dwóch Szeptyckich, z których Aftanazy zm. 1770 roku, ten kościół zbudował. Przy tęczy, po lewej stronie, na przeciw ambony umieścił X. infułat Żukowski siedzący posąg naturalnej wielkości Piusa IX. z białego marmuru.

Przed katedrą znajdujący się kwadratowy podwórzec opasany jest sztachetami żelaznemi. Naprzeciw zaś kościoła stoi arcybiskupi pałac piętrowy o 11 oknach długości. We środku ma na I. piętrze balkon spoczywający na czterech kolumnach. Po nad tym środkiem budynku jest II. piętro o trzech oknach. Cały gmach ten niema żadnego architektonicznego znaczenia.

Od miasta idąc, widzi się ten pałac arcybiskupi, nad nim góruje facyata kościoła ze św. Jerzym, po za tym zaś dopiero wznosi się kopuła. Jest to widok bardzo efektowny.

Co do nowych kościołów nadmienię, że ze spalonego uniwersyteckiego właśnie teraz restaurowana cerkiew obok narodnego domu, w stylu licho włoskim jest bez wartości. Na odległem zaś przedmieściu, tak zwanem „na Łyczakowskiem“ zbudowano z nietynkowanej cegły w szlachetnym stylu romańskim kościół i klasztor Franciszkanek. Szkoda, że gmach ten, jeszcze nie zupełnie skończony, tak na uboczu leży, byłby bowiem istotną ozdobą miasta.

Przeszedłszy do nowych konstrukcyj, nie mogę ich wszystkich ani wyliczać, ani opisywać. Ograniczę się w tej mierze jedynie do trzech nowych, publicznych, znaczniejszych gmachów.

I tak: przy Podwalu przybudowano do dawnego Namiestnictwa, budynku dwupiętrowego, bez stylu, o 25 oknach długości, tj. do tak zwanego pałacu „pod kawkami“ (Kawka, herb Galicyi) nowy gmach, również dwupiętrowy, liczący 15 okien [1]). Składa się on z dwóch narożnich rezalitów o oknie weneckim z dachami trapezowemi, dalej ze ścian mających 5 okien długości i ze środkowego rezalitu. Ten ma na parterze troje drzwi. Przed niemi stojącé 4 kolumny doryckie, dźwigają półokrągły ganek I-go piętra, na który się trojgiem półokrągło zasklepionych drzwi wychodzi. Drzwi te umieszczone są między 4-ma korynckiemi, przy samej ścianie domu stojącemi kolumnami. Na II. piętrze dano pomiędzy te okna, bogate karyatydy. Dach środkowego rezalitu także traperowy. Piękna to, poważna budowa renesansowa, dzieło ś. p. Księżarskiego, krakowianina.

Naprzeciw św. Jura stoi budynek piętrowy, o rezalitach narożnich z trzema oknami, ze ścianami, mającemi 4 okna i o rezalicie środkowym o trzech oknach (razem ich więc jest 17). Przed tym ostatnim rampa zajezdna, niewiadomo dlaczego. Z niej wchodzi się do portyku o pięciu kolumnach. Wszystko brzydkie, a niby renesansowe. Napis „Scientia“. „Experientia“ poucza nas, że to laboratorium chemiczne tutejszej politechniki. Po za tym budynkiem, naprzeciw, w ogrodzie, stoi gmach główny, dwupiętrowy o 27 oknach, (a w tem już o dwu narożnich rezalitach trzechoknowych i o środkowym o 5 oknach). Wszystko to jeszcze brzydsze od poprzedniego. Lecz o tyle się pocieszamy, że to tylnia strona gmachu. Spieszymy więc poznać front główny. Liczba okien i rozdział rezalitów i tu ten sam. Ornamentyka zaś zasadza się na tem, że na parterze, w środkowej części, mieści się 5 drzwi półokrągło zasklepionych, a przez oba piętra wznosi się 7 olbrzymich kolumn korynckich Na tak powstały balkon wychodzi się na I. piętrze przez 5 półokrągłych drzwi, mających oczywiście na obu bokach sklepienia owe dwa nieodzowne, a plecami do siebie obrócone jeniusze. Na II. piętrze jest nad niemi 5 okien.

Na kolumnach spoczywa gzyms, na nim balustrada, a na jej środku grupa alegoryczna. Co do jej znaczenia, pozwoliłem sobie, jak zwykle, takowego nie dochodzić, tem bardziej, że łatwo się domyśleć, że to będą personifikacye chemii, matematyki, mechaniki i podobnych muz nieklasycznych.

Wnętrze gmachu jest bardzo piękne. Ciosowemi schodami przybywa się do istotnie szlachetnego westibulu, płaskiem, tak zwanem zwierciadlanem, sklepieniem nakrytego. Tworzy on kwadrat, z każdej strony cztery razy dwoma kolumnami, jedna za drugą stojącemi ograniczony, pomiędzy które prowadzą na lewo i prawo wejścia do dolnych ubikacyj. Jeszcze okazalszą jest klatka, (raczej hala) schodowa [2]). Zbudowana w dobrym i bogatym stylu renesansu, na piętrze dokoła otoczona lekkiemi arkadami, a piękne bardzo schody obejmująca.

Na drugie piętro prowadzi dwoje osobnych schodów, opodal od głównego wejścia położonych, z również pięknemi balustradami, a podmurowanie ich i boki, czyli tak zwane wangi zasłaniają wielkie grupy allegoryczne, każda z dwóch figur złożone, a na poziomie I. piętra ustawione.

W chwili, gdy politechikę zwiedziłem, była w niej urządzona wystawa sztuk pięknych. Chociaż niezbyt liczna, obejmowała kilka cennych przedmiotów. Przedewszystkiem zwracały na się uwagę: Styki: Matka Boska, której reprezentanci różnych sfer naszego społeczeństwa hołd oddają; Gryglewskiego: śliczne wnętrze kościoła P. Maryi w Krakowie; Bieszczada: szewc; Wojciecha Kossaka: artylerya austryacka w ogniu, z olejnych; — z akwarel zaś słynne prace Juliusza Kossaka i Świeszewskiego widoki krakowskiego zamku, arabeskami w całość połączone.

Naprzeciw politechniki stoi bokiem do ulicy Kazimierowskiej, z cegły nietynkowanej, w stylu gotyckim, nowo zbudowana szkoła miejska. Ale tam tyle szkarp, przytyk, murów szczytowych, krenelaży, dymników i strojnych kominów, że aż strach bierze przed tym fantastycznym gmachem.

Oprócz namiestnictwa i politechniki trzecim pierwszorzędnym wśród nowych konstrukcyi jest bezsprzecznie pałac sejmowy. Tylny jego front, położony przy ulicy Kościuszki, dwupiętrowy, 23 okien długi, w poważnym i pięknym stylu renesansowym, składa się z dwóch bocznych pawilonów, po 5 okien obejmujących, które pod jednako rozwartym kątem, z obu stron stykają się z głównym korpusem i przez to w sposób bardzo szczęśliwie obmyślany, utylizują krzywość ulicy. Okna są półokrągło zasklepione, brama umieszczona w portyku z 4 kolumn z frontem. W tej budowie mieści się Bank krajowy.

Główna facyata jest od ulicy Słowackiego. Składa się ona z dwóch rezalitów końcowych, niskiemi kopułami pokrytych. W ich parterze jest po dwa okna. Przez I. i II. piętro wznosi się w każdym pawilonie po dwie kolumny i tuż obok nich, po rogach, po dwa pilastry korynckie, które sięgają wszystkie głównego gzymsu całego budynku. Między temi kolumnami umieszczono po dwie mniejsze jonickie kolumny dźwigające półkole. Samo półkole jest oknem II-go piętra, zaś przestrzeń próżna między wspomnianemi jonickiemi kolumnami, jest karyatydą przedzieloną na dwie części, a z których każda półokrągło zasklepiona, tworzy okna I-go piętra.

Między temi końcowemi rezalitami a środkiem gmachu znajdują się z każdej strony trakty dwupiętrowe o 7 oknach.

W nich, w wysokim ciosowym cokóle są okna suterenów. Parter ubrany w bonie czyli rustykę (imitacyą ciosów), ma w środku bramę półokrągło sklepioną między dwoma kolumnami korynckiemi, połączonemi horyzontalnem gzymsowaniem. Sciany I. piętra są poziomemi stosugami poliniowane. Okna półokrągłe, każde z nich między dwoma jonickiemi kolumnami, trójkątny fronton dźwigającemi, umieszczone. Pola między oknami II-go piętra są na wiedeński sposób arabeskami w płaskorzeźbie wypełnione.

Środkowy rezalit nareszcie służy w parterze za podjazd i ma trzy półokrągłe arkady, trzem takimże drzwiom wchodowym gmachu, odpowiadające, na jego obu końcach stoją kolosalne grupy, z których jedna umiejętność, a druga rolnictwo przedstawia. Nad tym podjazdem jest balkon (jakby lodżia) wysokość obu pięter gmachu, o ośmiu kolumnach korynckich pod gzyms główny sięgających. Z budynku wychodzi się na

[1]) Gdzie nie podaję, że okna są półokrągło lub ostrołukowo zasklepione, mam na myśli prostokątne.

[2]) Stosowniejszą jest nazwa niemiecka: Treppenhaus.

balkon przez trzy półokrągłe drzwi oszklone. Nad gzymsem jest attyka (parapet) przed którą stoją cztery figury alegoryczne. Nad attyką balustrada, a nad jej środkiem wielka grupa ciosowa, składająca się z jednej stojącej figury, obok której po każdej stronie jeszcze po jednej w leżącej postaci się znajduje. Ma to być kraj, lub Galicya wśród Wisły i Dniestru.

Cały pałac piękny jest i okazały, i godnie swemu przeznaczeniu odpowiada. Może jedynie owe powyżej opisane końcowe pawilony dla niezwykłej fantastyczności swych okien niezupełnie z resztą gmachu harmonizują.

Trudno wyobrazić sobie dla podobnego budynku położenia bardziej eleganckiego i malowniczego. Bezpośrednio przed nim zaczynający się i zwolna w górę wznoszący ogród miejski przechodzi od ładnych tapis de fleurs w gazony i klomby, nareszcie w wspaniały park a zamyka imponującym widokiem św. Jura. W jesieni, w pogodny wieczór, gdy podczas recepcyi u marszałka krajowego Dra Zyblikiewicza, muzyka gra przed pałacem, a ulica i ogród napełnione tłumami publiczności jarzą się białem światłem elektrycznem ze szczytu gmachu padającem, jest to wszystko razem urocze.

Wnętrza tego obszernego budynku, o kilku podwórcach, a zawierającego wszelkie biura, archiwa itd. Wydziału krajowego opisywać nie będę. Ograniczę się jedynie na części będącej pomieszczeniem reprezentancyi krajowej. Główna hal a schodowa jest prześliczna. Tworzy ona prostokąt podłużny, trzema duktami schodów w ten sposób wypełniony, że dwoje schodów bocznych z jednej i z drugiej strony środkowych, idą w odwrotnym niż te kierunku. Wszystkie zaś prowadzą na galeryą, z której i do sali sejmowej i do pokojów komisyjnych i do mieszkania marszałka się wchodzi. Galeryą tę tworzą lekkie arkady półokrągłe umieszczone między koryuckiemi kolumnami, jakich przy dłuższych bokach prosto kątu 6, a przy krótszych 4 dźwiga bogaty gzyms. Po nad gzymsem są lunety, czyli okulary, a miejsce płaskiego sklepienia zajmuje pokrycie szklanne.

Posadzka wszystkich galeryj i podestów jest w kolorowe, eleganckie desenie, niby mozajkowa z „terazza“.

Duże skrajne arkady znajdujące się naprzeciw wejścia są zamurowane, bo przed niemi stoją kolosalne figury, z prawej Mieczysława I. i Kazimierza W-go, z lewej zaś Włodzimierza W-go i Jarosława.

Sala sejmowa, choć skromna, jest piękna i szlachetna. Tworzy ona jakby prostokąt podłużny, którego jednę dłuższą ścianę zastąpiono owalem, dla uzyskania potrzebnego miejsca, by siedzenia posłów amfiteatralnie urządzić. Jako I. piętro są tu udatne, lekkie arkady, za któremi się mieści galerya. Po czterech zaś rogach, między koryuckiemi pilastrami występują w salę, jakby jakby erkery, loże.

Prezydyum umieszczono przy pozostałej dłuższej scianie. W niej niema arkad prawdziwych, lecz tylko im podobna, odpowiednia ornamentyka, co daje 5 pól, dotąd pustych. Sądzę, że na nich będą zamieszczone obrazy, które słynny artysta Henryk Rodakowski postanowił ofiarować krajowi.

W apartamentach marszałka umieszczono wielki obraz Matejki „Sejm lubelski“ przez twórcę krajowi podarowany. Oprócz tego są tam piękne portrety byłych marszałków, tj. ks. Leona Sapiehy i hrabiów Włodzimierza Dzieduszyckiego, Alfreda Potockiego i Ludwika Wodzickiego i śliczna wielka akwarella Kossaka, przedstawiająca jak za przewodem ówczesnego prezydenta miasta Zyblikiewicza, wiezionego swą znaną czwórką siwków, cesarz Franciszek Józef do Krakowa wjeżdża.

Gmach sejmowy, stawiany przez lwowskiego budowniczego miejskiego Hochbergera, polaka, z Poznania rodem, kosztował wraz z całem urządzeniem i umeblowaniem 1,300.000 zlr., a zatem mniej niż politechnika, a jest od niego o wiele piękniejszy.

Kończąc te pobieżnie spisane wrażenia, jakie na mnie Lwów zrobił, nie mogę przemilczeć, że miasto to jest siedzibą różnych a znakomitych instytucyj naukowych. Nie wspominając bowiem o szkołach niższych i średnich, czyli gimnazyach, etc., jest tu uniwersytet i politechnika, jest sławny zakład naukowy imienia Ossolińskich, o którym samym godziłoby się osobny obszerny artykuł napisać, bo wiadomo, że instytut ten posiada ogromną a nader cenną, publiczności przystępną bibliotekę, posiada zbiory historycznych przedmiotów i artystyczne, a między innemi i znakomitą kolekcyą polskich, historycznych portretów. Zakład ten wydaje też własnym nakładem bardzo poważne publikacye.

Podobnie warto by szerzej opisać przez hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego założone Muzeum imienia Dzieduszyckich, będące pysznym zbiorem dla historyi naturalnej i dla etnografii krajowej. Wreszcie tak zwane Archiwum bernardyńskie, (bo w zabudowaniach tego zgromadzenia pomieszczone, a z którego stosowne publikacye robi swoim kosztem Wydział krajowy, dopokąd fundacya na ten cel przez ś. p. hr. Stadnickiego uczyniona w życie nie wejdzie), obejmujące wszystkie stare akta z całej Galicyi, podobnie jak ziemsko-grodzkie krakowskie archiwum obejmuje wszelkie akta dawnego województwa krakowskiego; zasługuje także by o niem dokładniejszą podać wiadomość szerszej publiczności. Lecz dla braku czasu było mi to niepodobnem do spełnienia.

Nowo założone Muzeum przemysłowe wraz z połączoną z niem szkołą przemysłowo-artystyczną ma wielką i piękną przyszłość przed sobą, szczególnie gdy na nie i na krakowskie muzeum przemysłowe zwróciła się troskliwa opieka sejmu.

O innych, licznie tu istniejących stowarzyszeniach nie wspominam szczegółowo, bo by to już po za zakres niniejszego listu wychodziło.

S. M.

WAZON ROZBITY.

Z SULLY PRUDHOME'A

Kwiat werbeny, tam w wazonie,
Zwinął listki, padł bez siły.
Nieostrożnie białe dłonie.
Szkło wachlarzem potrąciły.

Ledwie rysę dojrzy oko,
Lecz ta rośnie coraz szerzej,
W kryształ wgryza się głęboko,
Dno wazonu w krąg obieży.

I usycha w nim pomału
Kwiat, wilgoci nie dość syty;
Woda sączy się z kryształu,
Nie dotykaj!.. on rozbity!

Ukochana czasem ręka
Zrani serce mimowoli;
Potem samo serce pęka..,
Kwiat w niem uczuć schnie powoli.

Swiat nie dostrzegł nawet zmiany,
Łzy i bóle przed nim skryte;
Ale w sercu ład stargany!
Nie dotykaj... bo rozbite!

Tłom. *J. H. Rychter.*

LUDZIE — a LUDZIE.

Ci ludzie, którzy z piersią od bólu złamaną
Mają wstąpić w mogiłę, ale w przyszłość wierzą —
Choćby zmarli, jaśniejsi z grobów zmartwychwstaną
I do czynów wystąpią z siłą ducha świeżą;

Lecz ci, co zapomnieli o celu człowieka,
Jak owi z ciemną twarzą upadli anieli,
Od których promień światła ze wstrętem ucieka
I cień im do stóp rzuca — przed skonem zginęli.

Karol z Myślenic.

KRONIKA.

Panie Sokołowski, bój się pan Boga! Notatki dyr. Guillaume'a.

Znane jest wszystkim przysłowiowe wyrażenie: Co ty robisz Mazurkiewicz?! Mazurkiewicz — bój się Boga! Rodowód przysłowia tego paremiografy rozmaicie wyprowadzają: jedni tak, drudzy owak, zgody ogólnej niema. Ostatni konkurs na pomnik Mickiewicza ma i tę zasługę, że sprawę tego rodowodu dostatecznie wyjaśnił. Ktokolwiek bowiem przeczytał artykuł p. Marjana Sokołowskiego w «Przeglądzie Polskim», mimowoli musiał zawołać: Co ty robisz Sokołowski?! Sokołowski — bój się Boga! Ztąd wniosek, iż ś. p. Mazurkiewicz musiał być sędzią w jakimś konkursie, wynagrodził jakiś Nr. 6, a później wobec niezadowolonej opinji starał się wykręcić sianem, co mu się również dobrze udało, jak i panu Marjanowi.

Pan Marjan pisze w «Przeglądzie Polskim», że ostatni konkurs «przeszedł oczekiwania najbardziej sangwinicznych optymistów, a wątpiącym sprawił przyjemną niespodziankę», że w «dzisiejszych czasach z niejednym nawet zagranicznym konkursem mógłby iść w zawody», że «nie powstydziłby się żadnej może europejskiej stolicy, wszędzie nie byłby przeszedł bez pewnego uznania» itd. itd. I pomimo to sąd konkursowy wybrał projekt banalny, szablonowy, w którym wszystko zmienił prócz architektury? Jeżeli najlepszym projektem był projekt p. Dykasa, w którym wszystkie szczegóły zmieniono, aby mu «nadać monumentalność i uwydatnić w nim ten charakter, na którym mu zbywało» (słowa p. Marjana) — to jakżeż konkurs taki można równać z zagranicznemi, z konkursami «europejskich stolic?» Bój się pan Boga, panie Sokołowski! — co pan wypisujesz?

P. Marjan przyznaje, że były modele, które posiadały «więcej ciepła, uczucia, podniosłości», «więcej werwy, żywości i oryginalnej siły,» przyznaje, iż «niejeden z pochwalonych czy nie pochwalonych zdradzał większą wprawę, pewność siebie i talent w szczegołach, co więcej, że niektóre miały więcej przymiotów i zalet dodatnich» — ale mimo to staje w obronie jury, bo żaden «nie był tak spokojny jak projekt p. Dykasa, tak skończony i harmonijny i nie miał tak mało stron ujemnych i wadliwych.» Ależ na miłość Boską, panie c. k. nadzwyczajny estetyku, przecież ta harmonja, ten spokój, ten układ wzięte są żywcem z pomnika Beethowena prof. Zumbuscha [1]). Bój się pan Boga, jak pan, taki znawca, możesz o tem nie wiedzieć? Więc to, o czem wiedzieli pogardliwie traktowani przez ciebie uczniowie Szkoły kompozycyjnej Matejki, tobie znawcy było tajnem i niewiadomem? Więc wolisz pan kopją w pomyśle i układzie i do tego słabą w szczegołach, aniżeli projekty «zdradzające pewność siebie, werwę, większą wprawę», więcej mające «ciepła, uczucia i podniosłości»? Więc pan tego nie rozumiesz, że rzecz mała i skromna, a przytem jak tu kopjowana w pomyśle, łatwiej ustrzeże się «stron ujemnych i wadliwych»? Więc dla pana więcej ma, dajmy na to, wartości drobny poemacik, spokojnie i przyzwoicie napisany, a przytem naśladowany, od poematu oryginalnego na dużą skalę, napisanego z większym «talentem», większą «wprawą», większem «uczuciem» i «podniosłością,» dla tego jedynie, że tamten pierwszy jako drobniejszy ma «mniej stron ujemnych», Więc pan tego nie pojmujesz, że łatwiej namalować artyście X. dwóch ułanow na dwóch koniach, niż obraz większy przedstawiający szarżę kawaleryi? że po prostu łatwiej jest zaprojektować pomniczek niż pomnik, pomijając już sprawę naśladownictwa. Inne, owe chwalone przez pana projekty słabą po części miały architekturę — czyż jej zmienić nie było można, tak jak panowie zmieniliście wszystko w projekcie pana Dykasa, oprócz architektury? Więc łatwiej według pana dać natchnienie figurze głownej, monumentalność całemu pomnikowi, cechę narodową figurom bocznym itd. — niż opuścić gzems jakiś, zniżyć lub podnieść piedestał? Panie Sokołowski, bój się pan Boga!

Piszesz pan dalej, że sąd konkursowy miał do czynienia z «rzeźbiarzami po *większej części młodymi*, którzy nie mieli sposobności próbowania swych skrzydeł». Ależ pan... mylisz się, grubo pan się mylisz. Syrewicz, Gadomski, Brodzki, Gujski, Marconi, Kucharzewski, Rygier mogą już 25-cioletnie a niektórzy 35 letnie obchodzić jubileusze pracy rzeźbiarskiej. Weloński, Barącz, Kryński, Wiśniowiecki, Mikulski, Kurzawa dobiegli lub dobiegają czterdziestki. Wszyscy oni byli już nieraz premjowani i dzieła swe w kraju i za granicą wystawiali. Odrzuciwszy projekty dyletantów, po większej części grubo w wiek już zaszłych, zostaje zaledwo trzech lub czterech młodych, pomiędzy którymi może jedynie pp. Daun, Zawiejski i Lewandowski trzydziestu lat nie skończyli. Gdzież więc ta *większa część* młodych? P. Sokołowski! bój się pan Boga!

Starasz się pan wycofać z nieprzyjemnego położenia i twierdzisz, że sędziowie «zrobili wszystko co mogli, nie polecali żadnego projektu do wykonania, ale otworzyli drogę do konkursu nowego», że dlatego udzielili listy pochwalne, aby «utworzyć drogę do nowego i w warunkach skuteczniej prowadzących do celu, ogłoszonego konkursu». Czemu więc pan potrącasz z niechęcią «Koło artystyczno-literackie», które przecież niczego innego nie chciało, owszem więcej nawet grzecznie postąpiło «zostawiając uznaniu Komitetu wybór drogi, mającej doprowadzić do pożądanego celu»? Ale i tu pan..... grubo się mylisz: sąd poczynił zmiany w projekcie pana Dykasa, obliczał ile pomnik ma kosztować, wybrał komissją nadzorującą wykonanie pomnika, pytał się o najlepsze gisernie... Czy to oznacza dążenie do nowego konkursu? czyż dyrektorowi Guillaume'owi przemawiającemu za trzecim konkursem choć jeden z sędziów wtórował? czy przeciwnie niema jasno jak na dłoni w protokóle, że przeciw jego wnioskowi inni sędziowie się oświadczyli? Ależ pan sam na str. 7 wyraźnie nazywasz konkurs «eksperymentem, którego powtarzać było trudno!» A więc pan się mylisz, sąd nie «otwierał drogi do konkursu nowego», ale najszczelniej ją zamykał.

P. Sokołowski pisze: «kto wie czem jest konkursowy model... ten wiedzieć powinien, że on jeszcze przy skali swej gwarancyi dawać nie może, że rzeźbiarz, który go pomyślał i zrobił, będzie podług niego w stanie monumentalnej wielkości dzieła wykonać». Jakto? więc bez żadnej gwarancyi, czy pan Dykas jest zdolny do wykonania pomnika — porobiliście panowie wszelkie do tego przygotowania? Oj, oj, oj panie Sokołowski, bój się pan Boga!

Nie warto się z panem sprzeczać o to, że komitet jak pan twierdzisz był wybrany «przez społeczeństwo i naród», bo to już zbyt wielka farsa, nie warto również zastanawiać się nad pańskiem przekonaniem, że komitet wydelegował «znawców krajowych i zagranicznych, najlepszych jakich mógł znaleźć», bo to pańskie o sobie i kolegach przekonanie dowodzi tylko chwalebnej naiwności i rozczulająco dobrej o sobie opinji, ale trudno nie wyrazić zdziwienia nad tonem pańskiego wypracowania. Pisałeś pan najmniej w trzy tygodnie po uchwałach sądu, kiedy już pierwsza gorączka niezadowolenia minęła, kiedy poważnie i spokojnie krytykowano lub broniono wyroku jury, i nie mogłeś się pan powstrzymać od niesmacznych wycieczek, od rzucania się na całe społeczeństwo. «W każdem innem społeczeństwie» byłoby inaczej, pan piszesz, u nas «opinja publiczna niejasna i nieujęta», u nas «burza wyrzuciła wszystkie męty społeczne», «nienawiści», «miłości własne», u nas «straszne upiory liberum veto i liberum conspiro stanęły przed oczyma», u nas «tworzyły się konfederacje» z Warszawą na czele», u nas były «krzyki i chorobliwe manifestacje ulicy» itd. itd. Za pozwoleniem panie Sokołowski! Wolno ci było pisać co ci się podoba, wolno ci było..... mylić się co chwila, ale wymyślać społeczeństwu za to, że broni swego prawa, że innym chce mieć pomnik Mickiewicza, aniżeli go pan sobie wyobraziłeś, że za swoje pieniądze chce rzeczy pięknej i odpowiadającej jego wymaganiom, a nie miernoty naśladowanej — za to panie Sokołowski, choćbyś był najprawdziwszym znawcą i kwadratowym estetykiem, wymyślać ci ogółowi nie wolno! Ten ogół czuje i myśli, a choćby czuł i myślał najnieestetyczniej, to możesz pan spokojnie mylność jego zapatrywań wykazywać, ale ci nie wolno urągać mu i pomiatać nim. Nie tacy już urągali i pomiatali, a musieli skłonić głowę przed wolą ogółu. Dwadzieścia dwa tysiące trzystu ośmdziesięciu i dwóch Marjanów Sokołowskich nie poradzi tam, gdzie głos ogołu rozstrzyga.

---

[1]) Projekt p. Dykasa ma też samą architekturę, co pomnik Beethowena, po bokach siedzą dwie figury tejże samej wielkości co w pomniku Beethowena, łączą je z frontu tu i tam dzieci, z tą różnicą, iż w pomniku prof. Zumbuscha jest ich pięcioro, u pana Dykasa dwoje; z tyłu wreszcie u prof. Z. jest łabędź, u p. D. orzeł. Cała różnica układu leży w tem, że Beethowen siedzi, a Mickiewicz stoi,—ale warunki konkursu wymagały figury stojącej.

Ale mniejsza o to. Najważniejszy w tej sprawie jest czas, w którym pan omawiany artykuł napisałeś i w dzień, w którym on wyszedł z druku. «Przegląd Polski» wyszedł w Wielki Piątek, artykuł został napisany na tydzień lub dziesięć dni przedtem. I w Wielki Piątek, w wielki post w ogóle, nie bałeś się pan, panie Sokołowski. tyle razy..... omylić się i tyle oznak nieprzebaczania swym przeciwnikom rzucić na papier? W chwili, w której miałeś jako prawy katolik przystąpić do spowiedzi, w chwili zapomnienia uraz, ukojenia się wobec obchodu Wielkiej Tajemnicy, pan się rzucałeś namiętnie, nakręcałeś prawdę, «nieprzystojnie chadzałeś przed Panem i narodem.» Ryzykowałeś pan wieczne zbawienie i dlaczego?—dlatego, żeby się utrzymać przy swem zdaniu o harmonji linij! Obarczyłeś się ciężkim grzechem, zapisałeś piekłu swoją duszę, a tu i tak pomnik p. Dykasa na rynku stać nie będzie! Coś uczynił, panie Sokołowski? Panie Sokołowski, bój się pan Boga! Mazurkiewiczu, ratuj kolegę!

Panie Sokołowski, bierz pan przykład z podpisanego. Gdyby nie twój artykuł w «Przeglądzie Polskim», byłbym zaczął dzisiejszą kronikę w sposób następujący:

«W chwili przebaczania nieprzyjaciołom, niosę gałązkę oli- «wną pokoju wszystkim stańczykom i laenderbankowiczom, wszyst- «kim dykasowcom cis-i translitawskim, wszystkim hrabiom gali- «cyjskim i demokratom krakowskim. Przebaczam niniejszem p. «Jordanowi anti-weiglowską partyzantkę, rozgrzeszam p. Ludwika «Masłowskiego z lwowskiego «Przeglądu», zapominam prof. Bo- «chenkowi zdzierania plakatów, a JE. Popielowi wycieczek prze- «ciw pieśniom w kościele śpiewanym. Przebaczam p. Marjanowi «Sokołowskiemu wszystkie jego recenzje artystyczne, przebaczam «mu w ogóle całą jego o pomstę do nieba wołającą wiedzę este- «tyczną» itd.

W taki sposób, ze słowami miłości i pokoju miała iść w świat dzisiejsza kronika. Że jest inną, winien temu p. Sokołowski i to mu na sądzie ostatecznym policzone będzie.

Ale kończmy już raz tę sprawę, a przejdźmy do innej, nierownie dla naszych czytelników ciekawszej.

Oto jeden z naszych sylfów redakcyjnych (tak reporterów nazywają Kurjery warszawskie) zamieszkały w Paryżu, niewiadomo jakim sposobem przyszedł do posiadania listów dyrektora Guillaume'a, pisanych z Krakowa do p. Dubois, i ciekawsze z nich ustępy, tyczące się naszego miasta, oraz posiedzeń sądu konkursowego przesłał w dosłownej kopji do zużytkowania naszej redakcyi. Nie powiemy, abyśmy bez pewnego zażenowania ustępy te drukowali, zawszeć to bowiem zwierzenia prywatne, ale znajdujemy w nich tyle spostrzeżeń trafnych, iż sens moralny, dający się z nich wyciągnąć będzie bezwątpienia z korzyścią dla naszego społeczeństwa. A ponieważ salus reipublicae suprema lex, przeto odkładamy wszelkie względy na bok i pomieszczamy wyjątki z listów dyr. Guillaume'a, pozwalając sobie tylko od czasu do czasu na wykropkowanie drażliwszych zdań lub wyrazów. Nadmieniamy jeszcze tylko tyle, iż listy te są rodzajem dziennika i przystępujemy do ich podania.

Wyjątek pierwszy nosi datę 1 Marca.

«Godzina 8-ma rano. Trudno mi pisać o Krakowie kiedy «dopiero 11 godzin w nim bawię, z których ośm przepędziłem «pogrążony w śnie głębokim. Ale muszę dotrzymać danego ci, «kochany Dubois, przyrzeczenia. Przywitali mnie na dworcu człon- «kowie komitetu, ludzie bardzo grzeczni i uprzejmi. O ile zau- «ważyłem panującym jest tu język niemiecki: konduktorzy ko- «lejowi, kelnerzy w sali restauracyjnej, posługacze i jacyś jegomo- «ście w długich surdutach wciąż tym językiem mówili. W sali «bagażowej podręczna biblioteczka kolejowa składa się z samych «prawie broszur niemieckich.

«Do miasta wjechałem przez tak zwaną Florjańską Bramę, «która wraz z tak zw. rondlem jest pozostałością po dawnych «murach Krakowa. Na ulicach ruch bardzo mały; choć to była «dopiero godz. 10-ta, zastałem już bramy zamknięte. Ulice oświe- «tlane są naftą, widocznie gaz w tej stronie Europy nie zyskał «jeszcze prawa obywatelstwa. Kanalizacya również jest w pogar- «dzie, co zaraz przy wjeździe do miasta dotkliwie uczułem. «Wprzejeździe z dworca do przeznaczonego mi mieszkania w Mu- «zeum ks. Czartoryskich pokazywano mi szkołę Matejki i hotel «lwowski, miejsce zebrań towarzyskich podczas karnawału. Miasto «otoczone jest plantacjami; na części przylegającej do ulicy Ko- «lejowej wzniesiony jest pomnik dla znanego w Anglji filozofa «Straschecequi (!).

«Po spożyciu kolacji udałem się na miasto, pogrążone już «w śnie głębokim. Rynek bardzo ładnie się przedstawia..... (Tu «następuje pobieżny opis rynku i kilku przyległych ulic, który «dla braku miejsca musimy opuścić)... Regularność w zabudowa- «niu miasta, oddziaływa i na mieszkańców. Każda np. strona «rynku ma swój własny zakład gastronomiczny, w którym przy «szklance piwa zgromadza się cała intelligencja miasta i radzi nad «sprawami publicznemi. Zwiedziłem jeden z tych zakładów, a mia- «nowicie pana Miqui, który dla dogodności swych gości zaprowa- «dził bardzo racjonalne urządzenia: jeżeli któremu z nich zbyt się «zaćmią oczy ma w pogotowiu okulary, w razie nierównego «chodzenia po podłodze, sprowadza z własnej fabryki bandaże, «dla urozmaicenia zaś gościom chwil pomiędzy śniadaniem a ko- «lacją otworzył salon artystyczny, którego zwiedzenie liczy się «w rachunku jako wypite trzy szklanki piwa. W ogóle piwo «w Krakowie zastępuje wodę i dlatego to zamiar założenia wodo- «ciągów spełzł na niczem, natomiast zostaną wybudowane pi- «wodukty z Pilzna, mające być zarazem symbolem jedności cze- «sko-polskiej, szczęśliwie w r. z. przy pomocy tego trunku szla- «chetnego zawartej.

«Przechadzka wieczorna po ulicach tego miasta utwierdziła «mnie w mniemaniu co do niemieckości miasta. Liczyłem na ulicy «Florjańskiej stosunek nazwisk polskich na szyldach do nazwisk «niemieckich: niezmierna większość Vaternachtów, Liebeskindów, «Friedmanów, Friestów była rezultatem tego obliczenia.

«Kończę dzisiejszą notatkę, gdyż za chwilę mam iść na «pierwsze posiedzenie jury. Przyznam ci się, że jestem bardzo «ciekawy poznać Matejkę, Brandta, Siemiradzkiego, oraz innych «polskich artystów. Ta chęć poznania się z nimi skłoniła mnie «głównie do przyjęcia twojej, kochany Dubois, propozycji i do «zastąpienia cię w gronie jury. Idę więc po trudach podróży zbie- «rać jej korzyści.»

Wyjątek drugi z d. 1 Marca:

«Nadzieje moje zostały zawiedzione. Byłem przekonany, że «poznam wielkich polskich artystów, tymczasem poznałem tylko «kilku polskich hrabiów i kilku panów, mających być większymi «znawcami sztuki, niż Matejko, Brandt i Siemiradzki.

«Powitał nas przemową mer miasta Schlaquetoqui. Preze- «sem jury został wybrany p. Paupielle, potomek pierwszej dyna- «styi polskiej. Z cudzoziemców oprócz mnie przybył rzeźbiarz «Zumbusch z Wiednia. Z innych nazwisk zapamiętałem pp. Psche- «scheschqui, Soclocequi, Lantzcoronnecequi i Prielignecequi. Który «z nich jest hrabią, a który znawcą zapomniałem. Wiem tylko, «że pan Soclocequi ma być i jednym i drugim.

«Poodrzucaliśmy bardzo wiele projektów, później jeszcze dwa «razy odrzucaliśmy i pozostało cztery zaledwie. Pomiędzy odrzu- «conemi było kilka bardzo ładnych, za których utrzymaniem gło- «sowałem, ale znawcy miejscowi byli innego zdania, w skutek «czego pozostały projekty nie będące według mego zdania najle- «pszemi. Rozpocząłem dyskussją nad jednym z nich, bardzo zwy- «kłym i zimnym, pozbawionym cechy narodowej, ale dobrym «w układzie i odznaczającym się sylwetą. Widziałem że projekt »ten szczególnie wszystkich interesował—jeszcze przed dyskussją «ciągle przed nim stawano. Dyskussja nad nim zajęła całe dzi- «siejsze posiedzenie.

«W ogóle wszystkie projekty mają być pracą bardzo mło- «dych artystów, gdyż dopiero prof. Zumbusch zachęcił Polaków «do próbowania sił w rzeźbie.

«Nie będę ci opisywał szczegółowo przebiegu dyskussji, gdyż «bez znajomości projektów, nie mogłoby to cię, kochany Dubois, «interesować. Wrażenia dodatniego nie wyniosłem. Najwięcej do- «wodził ten p. Soclocequi, ale wszystko co mówił........ przy- «tem widziałem, że jest bardzo......... i z namaszczeniem wy- «powiada największe........... Kilku panów zaledwie po parę «frazesów wydusiło. P. Pscheschesch qui był zawsze tego zdania «co p. Lantzcoronnecequi. Zumbusch mówił bardzo mało, nie «zna bowiem dokładnie języka francuskiego, w którym toczyła «się dyskussja. Porozumiewałem się z nim po włosku. Jakiś archi- «tekt (nie pamiętam nazwiska) objaśnił mnie, że różnica między «litwinką a polką leży w obuwiu. Wiele innych jeszcze........ «słyszałem, ale przez grzeczność nie protestowałem. Rezultatem ca- «łej dyskussji dzisiejszej było, że projekt pana Dicasse (tak się «nazywa autor pomnika, nad którym rozpocząłem dyskussją) nie- «ma szansy przejścia przy głosowaniu. I rzeczywiście dla wielkiego «poety jest on niemożebny, taki skromny, taki bez wyrazu. Pan «Paupielle jest za innym projektem, nierównie więcej imponują-

«cym, ale wyglądającym jak grobowiec. Szkoda mi odrzuconych «projektów.

«Rozeszliśmy się po południu, bo XX. Czartoryscy prosili «kilku z nas na obiad — widocznie druga część jury jest gdzie«indziej na obiad proszoną. Przed obiadem spacerowałem jeszcze «po mieście. Przekonałem się, że zdanie moje co do niemieckości «Krakowa w połowie tylko było słuszne. Młode pokolenie mówi «wyłącznie po francusku, choć mocno kaleczy naszą mowę. Ko«biety także mówią przeważnie naszym językiem,—naturalnie wspo«minam tu tylko o intelligencji. Gmin mówi językiem Mickiewicza. «Mieszczaństwo odznacza się długiemi kapotami (co już na kolei «zauważyłem) i wypuszczaniem z poza ucha długich kosmyków «włosów, rozmawia zaś tylko po niemiecku. Pomiędzy sferami «intelligentnemi mowa zależy także od budowy nosów: Polacy «z prostemi nosami mówią po francuzku, z garbatemi zaś po nie«miecku. Język polski bywa pogardzany i dlatego też zdaje się «stawiają pomnik Mickiewiczowi, jako ostatniemu, co pisał czy«stym polskim językiem.

«Na obiedzie u XX. Czartoryskich mogłem się bliżej przy«słuchać mowie polskiej, którą czasami prowadzono rozmowę. «Nie uwierzysz, kochany Dubois, jak jest ona podobną do fran«cuzkiej. Co drugie słowo prawie brzmi jak nasze, tak że po do«brem wsłuchaniu się rozumiałem nieraz całe zdania. Z początku «myślałem, że ktoś na żarty kaleczył mowę polską francuskiemi «wyrazami, ale przekonałem się, że mówiono całkiem serjo i bez «zamiaru żartowania. Niektóre wyrazy tylko przybierały czasem «polskie zakończenie. Oto próbka porównania obu języków:

po francuzku:	*brzmi po polsku:*
Ne désire pas ce que tu ne peux pas avoir, mais contente-toi de ce que la providence t'a donné.	Nie pragnij tego, que tu ne peux pas avoir, ale kontentuj się de ce que la providence ci dała.

«Omyliłem się, twierdząc, że gaz nie zyskał tu jeszcze praw «obywatelstwa, gdyż widziałem dziś już pozakładane latarnie ga«zowe, — widocznie budują już fabrykę gazu.»

Trzeci wyjątek z d. 2 Marca:

«P. Dicasse dostał nagrodę pierwszą. Po dyskussji dnia po«przedniego był dla mnie ten wynik istną niespodzianką. Ale i wszy«stko było niezmiernie zagadkowem. Członkowie jury po prostu nie «wiedzieli do czego zostali powołani. Jeden mówił to, drugi owo. «Słowem było to jedno.......... P. Soclocequi............... «Architekt (ten którego nie pamiętam nazwiska) wydał mi się..... «Również i sędzia ze Lwowa jakiś pan Sakarewitsch, czy coś po«dobnego, nie zdradzał............. P. Soclocequi po raz drugi «........... W końcu uradzono wszystko pozmieniać, tak że «projekt do pomnika będzie tak podobnym jak rak morski do «korniszona. Radziłem nowy konkurs, ale mnie nie słuchano. «O innych projektach nie mówiono. Do tej chwili nie rozumiem «co się tym panom stało. Chyba, że..................

«Po ukończeniu posiedzenia pytali się mnie ile może koszto«wać wykonanie pomnika. A to pocieszne! Przyjmowali projekty, «radzili nad niemi, nagrodzili, polecili wykonać, a nie wiedzieli «ile który będzie kosztował.

«Potem poszliśmy na rynek i na inne place. P. Soclocequi «gwałtownie chciał mi dowieść, że rynek jest złem miejscem i że «lepiej postawić pomnik w kącie. Mówił, że naród chce rynku, «a znawcy innego placu. Roześmiałem się na to, a Zumbusch mi «wtórował. A to znawcy!

«Ale za to wieczorem przekonałem się, że są znawcami. Dali «nam kolacyjkę, jakby u Frères Provençeaux. Dobrze, bardzo «dobrze jedzą. Jeden też z nich został wybranym do jury na «wystawie kucharskiej w Warszawie.»

Czwarty wyjątek datowany z Wiednia 4 Marca:

«Obejrzałem dziś znakomitsze muzea wiedeńskie. Wyobraź «sobie na placu przed konserwatorium muzycznem znalazłem pom«nik Beethovena dłuta Zumbuscha. Z wszystkiem tem co mi się «podobało w projekcie p. Dicasse tj. z harmonją linij, układem, «sylwetą spotkałem się oko w oko w pomniku Beethovena. Ja «pierwszy raz jestem w Wiedniu, ale ci panowie bywają często, «a tego nie widzieli. Coraz lepszego zaczynam o nich nabierać «przekonania..... Drugi raz mnie nie złapią!»

Na tem się kończą wyjątki z notatnika p. Guillaume'a.

K. B.

P. S. W ostatnim «Echu teatr. i muz.» professor Dr. Józef Kleczyński pisze o pomniku i jury, z wielką dla tej ostatniej rewerencją. Dla ocenienia wartości tego artykułu dość powiedzieć, iż professor i doktor nazywa Welońskiego *jedynym rzeźbiarzem pracującym w bronzie.* Mazurkiewicz, boj się Boga! Profesor i doktor ogłaszający swe zdanie w sprawie artystycznej, w sprawie pomnika, nie wie do tej chwili, że żaden rzeźbiarz nie pracuje w bronzie, że każdą figurę w bronzie można odlać w każdej odpowiednio urządzonej giserni. Szkoda, że prof. Kleczyńskiego nie było w kolekcji znawców. Nie pozostaje mi nic innego jak tylko poprosić Mazurkiewicza, aby zapoznał ze sobą obu znawców. Bierz ich na rękę Mazurkiewicz i mów: «panie Sokołowski mam zaszczyt przedstawić panu prof. Kleczyńskiego — panie Kleczyński mam zaszczyt przedstawić panu pana Sokołowskiego.»

PRZEGLĄD LITERACKI.

Las. Napisał Włodzimierz Wysocki. Kijów — nakładem księgarni Bolesława Koreywy. 1885.

Autor „Laszki", którą krytyka warszawska dość zimno przyjęła, (zarzucając p. Wysockiemu naśladownictwo „Maryi", Malczewskiego), wystąpił z nowym poematem p. t. „Las" z którego treścią chcemy zapoznać czytelników „*Przeglądu*". Oryginalna to w każdym razie książeczka, pisana jest w formie sonetów, których jest razem 26 i raczej rozprawką ekonomiczną, omawiającą barbarzyński sposób tępienia lasów, aniżeli poematem, ochrzczoną być powinna. Są to właściwie obrazki rodzajowe, w których autor z nadzwyczajnem zamiłowaniem przedstawił otaczające go w koło bogactwa i potęgę przyrody, ażeby zaś treść urozmaicić wplótł w osnowę poematu romans ubogiej córki gajowego (Oleny) z paniczem, którego w tym wypadku reprezentuje prawdopodobnie sam autor.

Romans ten jednakże wkrótce się urywa, kiedy bohaterka oświadcza swemu kochankowi, że pragnie zostać jego żoną, a „panicz" pomimo swoich „wolnomyślnych" pojęć na ten mezalians zgodzić się nie chce, tłumacząc odmowę w ten sposób:

„Tyś nie dla mnie Olenko! jam ciebie nie godzien!
Ciebie, proste, natury niespaczone dziecię,
Mam prawo uwieść, siłą posiąść jako zbrodzień,
Coby mi przyklaśnięto nawet w moim świecie;

Lecz wara zwać cię żoną! — boś nie naszej sfery.
Bo nie masz cnót i wdzięków salonów hetery,
Nie masz przymiotów sroki, papugi rozumu,

Nie masz zębów fałszywych, nie tynkujesz skóry,
Masz własne piersi, włosy, nie nosisz turniury,
Słowem: jesteś prostaczką, jesteś dzieckiem tłumu...

Dlaczego „panicz", gardzący sztucznemi formami konwenansu, w ten sposób odpowiedział swojej ubóstwianej kochance — zaiste zgadnąć trudno.. dość, że po tej rekuzie więcej z Olenką się nie spotykamy, co w każdym razie za kordynalny błąd poematu poczytanem być musi. Łatwo to bowiem z wysokości poetyckiego koturnu rzucić ładnie brzmiący lapidarny frazes, ale skoro się niema mocy wygłoszoną prawdę w czyn zamienić, efekt słabnie i na czytającym robi wrażenie dziecięcej szopki..

Zakończenie poematu jest apostrofą do tych, którzy w bezmyślny sposób tępią ojczyste lasy nie oglądając się na przyszłość i odznacza się oryginalnością, może nawet za *oryginalną*...

A gdzieście wy, łupiezcy, bez serca, bez głowy,
Którzyście zmarnowali ten nasz skarb krajowy?
Po latach może kilku, w odzieniu żebraczem

Wrócicie tu, strwoniwszy za granicą krocie,
Może nie jeden, widząc pustki te, w zgryzocie
Zapragnie się *powiesić*..... lecz nie będzie na czem!

Wykazaliśmy ujemne strony utworu, lecz nie należy stąd wnioskować, jakoby poemat był bez wartości, i owszem posiada on zalety i to niepospo-

lite. Język bardzo ładny, obrazowanie barwne i efektowne, rymy pełne dźwięku i harmonii i klasyczna forma — oto dodatnie strony poematu, które go zaszczytnie wyróżniają od innych tego rodzaju utworów. Pod tym względem musimy pana W. uważać nie za dylletanta, natężającego się mozolnie nad „zaplataniem rymom ogonów“ jak mówi Krasicki, ale za skończonego poetę, mającego niepospolitą przyszłość przed sobą. *E. R.*

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Z TEATRU.

Benefisy. Anna Oświęcimówna, p. Mikołaja Bołoz Antoniewicza. Menonita, Ernesta Wildenbrucha. Księżna Udaszkin, Gustawa Freytaga. Wznowienia. Pro domo sua.

Bez grzechu chyba będzie wyznanie, iż piszący te słowa zwątpił już był niemal zupełnie w pomyślność połowu sztuk benefisowych; co jedno zagłębienie sieci, to większa... płotka i niewiem dokąd by się ta zabawa ciągnęła, gdyby p. Podwyszyński na niemieckich wodach nie był ułowił *Menonity*. Większość benefisantów tam pokarmu szukała, ale wszystkim odmówiła fortuna swego uśmiechu i niewielkie plony zdobyto. Czy p. Podwyszyński posiada jakieś specyalne szczęście do szukania ryb w dobrych jeziorach, czy też tylko czytuje wiele prac dramatycznych i co lepsze wybiera (posądzam go o to) nie wiem, ale dość że *Menonita* zaważył na szali, która znacząco przechylała się ku miernotom.

Poprzedził jednak nowość niemiecką utwór oryginalny *Anna Oświęcimówna* p. Bołoz Antoniewicza, wznawiany dość regularnie co kilka lat przez jaką aktorkę, pragnącą publiczności zaprezentować swe deklamatorskie uzdolnienie. Dlaczego uczyniła to w tym roku pn. Kałużyńska, którą chętniej widujemy w rolach lirycznych, niż bohaterskich, nie śmiem przesądzać, ale za jedyne usprawiedliwienie poczytuję chęć uratowania „honoru domu“ sztuką oryginalną.

Znane podanie o Stanisławie i Annie Oświęcimach, co zapłonęli ku sobie miłością niebraterską i niesiostrzaną wziął p. Antoniewicz za przedmiot sztuki, nie licząc się z wymogami sceny, która nie mogłaby przecież znieść rozumowań najtkliwszych dwojga kochanków tak bliskiej krwi. Więc chociaż dowiedzionem zostało, że Stanisław rodzonym był bratem Anny [1]), p. Antoniewicz dla nadania interesu sztuce zmienia fakt historyczny, pozwala na dalsze pokrewieństwo kochanków, ale zabrania pustelnikowi zdradzenia tej tajemnicy („przysięgą związanemu“), przez co naraża miłującą się parę na pięcioaktowe tortury, widzowi zaś podsuwa myśl, że tu, jak na dramat, niema pierwiastków ścierających się, niema żywiołów walczących a tylko pustelnik, który mimo swoich zapewnień o miłości dla domu Oświęcimów, mimo widoku cierpień, jakie przechodzą Stanisław z Anną, przechowuje tajemnicę. Sztukę ratuje potoczysty język; wiersz gładki porywa nieraz siłą i barwnością, wyzyskali to umiejętnie p. Sobiesław i p. Barszczewska, której dostała się niewdzięczna rola powiernicy. P. Rygier był zamaszystym Łaszczem. Co do benefisantki, ta dość szczęśliwie ominęła trudności swej roli, zastępując siłę rzewnością; pożądanem byłoby jeszcze usunięcie onego tonu *lacrimoso* w scenach miłosnych wynurzeń. Pn. Kałużyńskiej z racyi benefisu wypada powinszować pracowitości jaką okazała w ciągu sezonu zimowego. Młode jej siły wzmogły się i przy staraniach nad wyrobieniem głosu, sumienna ta aktorka może liczyć na uznanie publiczności i krytyki.

W ślad za zakochanym Oświęcimem ujrzeliśmy *Menonitę*, Ernesta Wildenbrucha, wprowadzonego do nas przez p. Podwyszyńskiego na własny benefis, we własnym przekładzie wierszowym. O autorze tego dramatu mało u nas dotąd słyszano; żadna z polskich scen nie wystawiała jego prac; a szkoda, bo posiadają niezaprzeczoną wartość sceniczną. Nowsza krytyka niemiecka [2]) rokuje autorowi przyszłość, przyznając łatwość formy, wniknięcie w przedmiot tragedyi z zachowywania subtelności charakteru i głębokości poglądów porównywa go z Grillparzerem. Nie możemy się tu rozszerzać nad innemi dramatami Wildenbrucha (*Harold*, *Karolingerzy*, *Chr. Morlaw* — Berlin 1883—84), pospieszamy do „Menonity“ i jego treści. W gminie Menonitów, gdzie sekciarskie ich pojęcia gnębią wszelką myśl wolną i śmiałą, zjawia się człowiek młody i pełen sił, co zaczerpnąwszy na szerszym świecie nowych poglądów staje w kolizyi z zaśniedziałemi przesądami swoich współwyznawców. Kolizya ta wynika wskutek podrażnienia indywidualnych uczuć Reinholda; jeden ze starszych Menonitów zapragnął pojąć za małżonkę oddawna ukochaną przez młodzieńca Maryę; gdy powolna rozkazowi ojcowskiemu córka przystaje na to małżeństwo, Reinhold widzi się zawiedziony w swoich marzeniach i przygnębiony, nie mogąc nieść sobie i ukochanej pomocy. Sposobność nadarza się a jest nią obraza, jakiej się dopuszcza oficer francuzki względem Maryi; w obronie znieważonej staje nie Mateusz, narzeczony dziewczęcia, lecz pominięty kochanek, Reinhold. Miłość kochanki staje się pewną, ale nadzieja pobrania dalszą, obrońca bowiem w zapalczywości przyjmuje wyzwanie oficera, przez co przekracza zasaduicze punkta ustaw, obowiązujących Menonitów. Zaczyna się dramat właściwy, który wypełnia resztę akcyi. Dopiero w tej chwili dowiadujemy się kogo witać w Reinholdzie. Nie pokornego baranka, idącego wytkniętą ścieżką tradycyj, pozwalającej na deptanie honoru i czci osobistej, lecz lwa, którego dotknięto w najboleśniejsze miejsce, zadraśnięto honor jego i ukochanej kobiety. Czas, w którym się akcya rozgrywa pomaga jej rozwinięciu. Najście Napoleona na Niemcy, ciemięztwa tego „genialnego bandyty“ łatwo rozbudzić mogły uśpionego ducha spokojnych mieszkańców. To też Reinhold burzy się nietylko w uczuciach osobistych, on pragnie podnieść rękę przeciw Napoleonowi. I w obronie zdeptanej czci własnej i w walce przeciw najezdnikowi znajduje on opozycyą we własnej gminie, która wszelkie jego zachcenia paraliżuje artykułami ustawy. Dwóch tedy wrogów ma do zwalczenia Reinhold tradycyą i Mateusza, rywala, który nie zasypia sprawy, ale wynajduje nowe środki na zgubę przeciwnika. Nie mogąc go wyprzeć z serca kochaki, godzi na jego dobre imię a nawet życie. Uwiadomiwszy gminę o zamierzonym pojedynku, zniewolił tem samem Reinholda do zaniechania zbrojnej obrony Maryi i co za tem idzie w oczach Francuza za tchórza przedstawił; dowiedziawszy się zaś o zamiarze przyłączenia się Reinholda do partyi, rugującej Napoleona nie waha się do zawiadomienia i o tem gminy, która lojalnością powodowana postanawia wydanie władzom francuzkim agitatora, przybywającego dla omówienia z Reinholdem sposobów obrony przed Francuzami. Następuje katastrofa.

Reinhold „zrzuciwszy Menonity miano“, wystrzałem z pistoletu pozbawia Mateusza życia. Postawienie całej tej kwestyi w zawiązaniu intrygi jasno wskazywało smutny jej koniec. Ile razy podjęto walkę z zasadami, które są wygodną tarczą dla sybarytów lub w apatyi pogrążonych, tyle razy walka ta skończyć się musiała niekorzystnie dla pierwszego bojownika wolnomyślności.

Całość czyni wrażenie podniosłe, szlachetne, ale budowa wzbudza pewne niedowierzania, pewne posądzenia o dwoistość akcyi. Jak mianowicie postąpiłby sobie Mateusz z Reinholdem, gdyby nie miał był głównego przeciw niemu oskarżenia tj. chęci pojedynkowania się? Bo przecież to zjawienie się Francuzów jest wprost przypadkowe, zadzierzgnięcie węzła dramatycznego, spowodującego katastrofę, następuje wcześniej, przed obrazą wyrządzoną Maryi. Całe więc wstawienie aparatu politycznego, nie jako tła, ale motorów psychologicznych wydaje się współrzędnie ważnem w obec osobistych nienawiści walczących sił. A nawet ten drugi szereg kolizyj wydaje się ważniejszym, jest on niejako zasadniczym motywem działalności Reinholda, jest tą kanwą pierwotną, na której Wildenbruch rozsnuł bajkę o nieszczęśliwej miłości. Jest więc pewien brak spoistości pomiędzy ogólną tezą sztuki, za którą przyjąć trzeba walkę nowych idei z zastarzałemi, a jej szczegółami tj. romansem i stosunkami działaczy. Do tego zarzutu dołączyćby też można pewne nieumotywowanie owego zaśnięcia ojca Maryi w akcie IV., ważnego dla dalszych losów Reinholda. Czy się ono stało z winy tłumacza, czy autora, nie mając oryginału pod ręką, nie mogę odpowiedzieć, ale przypisałbym ją Wildenbruchowi dlatego, że całe to uśpienie nie robi należytego wrażenia, jest faktem dość niezręcznie podsuniętym, za wypadkowym na tak psychologicznie poczęte dzieło. Te kilka ujemnych stron wynagradza się i samym tematem, nie tuzinkowym i budową sztuki w pozostałych częściach. Niezmierna łatwość opisowa i jędrność wyrażeń, będąca cechą Wildenbrucha, w „Menonicie“ jawnie występują. Zakończenie aktu trzeciego niezwykle silne sprawia wrażenie.

Oddając pochwałę przekładowi, muszę ją przyznać raz jeszcze panu Podwyszyńskiemu za rolę Mateusza. „Czarne charaktery“ to pole popisu p. P. i tu więc okazał on talent z sumiennem opracowaniem w parze; pan Rygier, grający w tym sezonie pewnie szóstą bohaterską rolę, po raz szósty ożywił ją zapałem i siłą. Pn. Kałużyńska z szczerym liryzmem umiejętnie grała Maryę, a p. Frenkiel dowiódł, że dla „artysty“ niema małych ról. P. Werner poprawnym był Waldemarem.

W jedną sieć z ascetycznym „Menonitą“ wpadł rozpustny *Hrabia Waldemar*, Freytaga, który jednak z niewiadomych przyczyn (czyżby z galanteryi?) pozwolił firmą swą zastąpić *Księżnie Udaszkin*. Gościa tego należało powitać z respektem, jaki się mieć powinno dla domu, z którego pochodzi a współcześnie ocenić go tą miarą, jaką on ludzi mierzył. Kilka lat wystarczyło, aby Waldemarowi wykreślić z pamięci kochankę (Udaszkin); cóż mówić o maszyneryi scenicznej, o tendencyi dramatu, który od lat 35 obiegł tyle scen niemieckich. Zjawił się przed nami rozpustaik z przed pół wieku blisko, birbant starej daty, dawnej mody i... spóźnił się. „Każdy wiek ma

[1]) Szajnocha: Szkice historyczne, tom I. warsz. wydanie.
[2]) A. Klaar. Das moderne Drama. Praga 1883. Tomów 3.

swoje prawa", więc dziś po komedyach francuskich, które nam podobne typy spospolitowały zjawienie się niemieckiego szaławiły przekonało nas, że starzeje się podobny szyk. Widzieliśmy już podobnych okazów tuziny całe, a przoduje im niewątpliwie Mortimer ze „Starych kawalerów" Sardou, równie dramatyczny, ale mniej filozofujący, mniej narzekający, Francuz czystej wody a nie limfatyczny Niemiec. Co może być naiwniejszego, jak Don-Juan zapóźniony w latach i do tego Niemiec. Ckliwością i sentymentalizmam tej jednej postaci Francuz niewątpliwie obdzieliłby cztery komedye mieszczańskie, tu mamy ją skoncentrowaną w jednej sztuce, słuchamy jej na każdym kroku, w narzekaniach samego bohatera, w wywnętrzaniach księżnej a już niema mowy o Gertrudzie, która czyni to w dwójnasób. Jeden Teodor jest tu bardziej działający; karty fałszuje, ludzi obija, „Piksa zamiast Sfinksa" sprowadza przed psią budę „dla szyku," ale przynajmniej wiele o swoich czynach nie mówi. Ma w sobie jednak *„Hr. Waldemar"* inne pierwiastki, które go tłumaczą ze stanu, w jakim go dziś widzimy, tj. przypruszonego siwizną. Jeżeli się weźmie na uwagę, że pisany był w r. 1850, że pisał go człowiek, którego imię przywykliśmy stawiać w drugim rzędzie po za Gutzkowem, Laubem, Heblem, Kühnem, Mundtem, i Wienbargiem, że zatem Freytag należąc, jeżeli nie do przywódców „Młodych Niemiec" to zawsze do szeregowców tej armii, miał na myśli wprowadzenie do dramatu czynników demokratyzujących ówczesne „stany wyższe". Dlatego to powstał „Waldemar", żeniący się w końcu sztuki z ubogą ogrodniczką, dlatego to dla tej dziewczyny gwałcą się w akcie ostatnim prawa macierzyńskie, dlatego na księżnę rzuca ostatni kamień potępienia „zła matka!" Powiada słusznie Klaar w cytowanem już przezemnie dziele, że od r. 1848 w literaturze niemieckiej zapanowała moda tz. „mezeljansów": autorowie na wielki gwałt kazali swoim bohaterom poszukiwać żon pod strzechami wieśniaczych chat, w cieplarniach i ogrodach, nie bacząc co usprawiedliwia takie małżeństwa, oprócz fantazyi autorskiej i co za pożycie gotują skojarzonym dla kaprysu chwili parom. Jak wszystkie „manje" i ta miała swoją zasłużoną karę, znalazła ją u przyszłości, nie potrzebującej już demokratyzowania tak słabemi środkami; zresztą, o ile autor nie skierowywał swego pióra ku tej narzuconej tendencyi, postacie swobodniej oddychają, śmielej po scenie się poruszają, mają humor i prawdę życiową. Takim też jest Waldemar w pierwszych scenach, kiedy nie zamyśla jeszcze o „modnym mezaljansie", kiedy jest sobą, chodzi na schadzki miłosne z księżną. Ale od chwili kiedy dostawszy się pod skrzydła opiekuńcze Gertrudy, ku niej afekt poczuwa, kiedy go ujmuje ta prostota, wpada w deklamacyjność, stara się przekonać nas o swojej poprawie i miłości dla ogrodniczki; uczucie to powstało przez wdzięczność za pielęgnowanie syna; ale ojcowskie serce nie bije nigdy silniej dla tego dziecka; egoizm zimny ojca przebija nawet po „uszlachetnieniu przez miłość" i dlatego nie pociąga on widza, jak Mortimer np., który w synu widzi swoje odrodzenie, w jego miłości i szacunku. Waldemar widzi je we własnym szczęściu i zdaje się być z tego powodu jawnym wyznawcą: *prima charitas ab ego.* Księżna ma również coś z tego egoizmu. Jej także idzie o schwytanie męża a nie ojca. Raz, zdaje się, odwołuje się do uczuć macierzyńskich i to, grożąc udręczeniami dziecku, dla własnego interesu. Demoniczność to wprawdzie, ale niżej od suki stawiająca uczucia księżnej, jako matki. Gertruda jedna posiada miłość prawdziwą dla dziecka, jest to jej jedyna broń zarówno w walce z księżną, jak i względem Waldemara. Posiada wiele cech dodatnich, któremi zazwyczaj obdarza się podobnie idealne istoty, potrzebne dla przeciwstawienia złemu w sztuce.

Grano u nas dramat Freytaga wedle sił. Pn. Sułkowska, nie posiadając w rozporządzeniu warunków głosowych rozległych, umiejętnie skoncentrowała główną charakterystykę postaci tytułowej w namiętnej żądzy podreparowania zachwianej sytuacyi księżnej i w tym kierunku konsekwentnie rozwinęła swą rolę. Pn. Pysznik, zastępując uczuciowością siłę, dostrajała się do obniżonego nieco kamertonu gry wszystkich. Pan Rygier w roli Waldemara pokonał wiele trudności, jakie mu ta postać nasuwała; trzeba było umiejętnego przeprowadzenia charakteru, kilkakrotnie zbaczającego z przedsięwziętej wędrówki żywota. Powiodło się to artyście, co przynosi zasługę jego inteligencyi i talentowi.

Szczęśliwy benefisant, który może w dniu swego tryumfu poszczycić się koleżeństwem z p. Wolską i p. Frenklem. Pierwsza w roli staruszki, drugi w roli Teodora olśnili nas artystyczną swą grą. Karciani towarzysze księcia z IV. aktu wzbudzali pewną nieufność w dystynkcyą i częste obcowanie z salonowym przyjacielem.

Zamykając ten przedświąteczny obrachunek z naszym teatrem, nie mogę pominąć wznowienia *„Daniszewów"*, w których młoda, a rokująca nadzieje aktorka, p. Barszczewska z dosadną charakterystyką odtworzyła księżniczkę Walanoff, jak również ubytku, który ponosi scena nasza przez ustąpienie z szeregu jej pracowników p. Stępowskiego. Przenosząc się na scenę lwowską, p. S. pozostawia w naszej pamięci opinią pracowitego artysty, którego gra (*Adrianna*, *Bracia Rantzau*, *Reif*, *Porwanie Sabinek*) niejednokrotnie wskazywała niezaprzeczenie wyższe uzdolnienie.

Pro domo sua nakoniec winienem zanotować, iż nie jestem bynajmniej tym samym *Nemo*, który w „Przeglądzie Pedagogicznym" przypisuje grze p. Modrzejewskiej uniemoralniające wpływy. Niebawem obiecuję sobie umieścić kilka uwag w tym przedmiocie, jako odpowiedź szan. imiennikowi.

Nemo.

Konrad Wallenrod.

Opera w czterech aktach a pięciu obrazach, Wł. Żeleńskiego.

(Dokończenie).

Akt III-ci — Uczta. Wielka sala na zamku Malborskim. Na ścianach zbroje i białe chorągwie. Stół zastawiony stoi pośrodku sceny, na nim świeczniki. Sala wspaniale oświetlona. W około siedzą rycerze w płaszczach białych, z czarnymi krzyżami na piersiach. Po lewej stronie od widzów siedzi Konrad w ponurej zadumie, wychylając kielich jeden po drugim. Po prawej, naprzeciw Konrada, Witold w stroju litewskiego księcia. Siedzących biesiadników otacza tłum giermków, paziów i pachołków. Jedyny akt 3-ci wyróżnia się od innych aktów opery ogólnym swym kolorytem, bo gdy w całej operze przeważa ton ponury, uroczysty, smętny, w tym akcie uczta (na której konieczne są kobiety) nadaje mu barwę weselszą, jaśniejszą, to też muzyka zaraz w początku odpowiada sytuacyi, lecz niema tego stopniowania i rozwoju w budowie, jakto widzieliśmy w akcie II, a łatwo by mógł kompozytor to osiągnąć, dodając co temu aktowi brakuje, gdyby po odśpiewaniu cudownych piosnek Minstrelów, dał Konradowi do śpiewu „Alpuharę" pierwotną, do słów oryginalnych Mickiewicza, które to arcydzieło słyszeliśmy przed kilku laty śpiewane przez tenora Cieślewskiego. Może autor obawia się, że pierwotna „Alpuhara" byłaby za długim numerem w operze? — wcale nie, naprzód założenie całego dzieła zezwala na to, powtóre pierwotna „Alpuhara" pięknością swą zachwyci i porwie tak słuchaczy, że z pewnością za długą im nie będzie, a ostatecznie każdy bohater tenor podoła swej partyi Konrada, chociaż i pierwotna „Alpuhara" w niej będzie, zwłaszcza, że jak czytamy w różnych dziennikach, zamyśla autor poczynić skrócenia w operze. Dlatego radzimy wstawienie *pierwotnej* „Alpuhary", będzie to punktem kulminacyjnym aktu 3-go, który obecnie jest najsłabszym w całej operze.

Akt 4-ty złożony z dwóch obrazów rozpoczyna się sądem. Podziemia. Ciemne i niskie sklepienia wsparte na grubych filarach, które stoją dwoma rzędami i dzielą scenę na trzy części. W głębi drzwi żelazne. U stropu pali się lampa. Z lewej strony ściana zamknięta, z prawej filary stanowią kulisy, jakby podziemie ciągnęło się dalej w tę stronę. Po lewej stronie stół okryty czarnem suknem, na nim krucyfiks i trupia czaszka. Obok stołu, na przodzie sceny na dwóch stopniach pokrytych czarnem suknem, stoi stół w kształcie pulpitu z krzyżem czarnym na wierzchu. Na nim leży otwarta księga. Za podniesieniem zasłony scena pusta. Po chwili otwierają się drzwi żelazne w głębi i wchodzi arcykomtur zamaskowany w czarnej zbroi. W tym obrazie rozporządza autor nader skąpymi czynnikami, albowiem przychodzi w nim tylko arcykomtur i krzyżacy, cały ten obraz jest to solo na baryton z chórem męzkim, a jednakże swoim talentem i wprawną umiejętnością użycia należycie głosów męzkich, wywiązał się autor świetnie ze swego zadania. Co tu trzeba pomysłów i kombinacyj, jak trzeba panować nad formą i architektoniką, aby się nie stać nudnym i monotonnym, mając do dyspozycyi jeden głos męzki z chórem męzkim.

Za długiemi zdawały nam się przegrywki, pierwsza przed rozpoczęciem chóru półgłosem „To zdrada, okropna zdrada!" a druga po wyjściu rycerzy. Ten obraz łączy się z następnym po zapadnięciu zasłony, ustępem symfonicznym przedstawiającym zamieć śnieżną na Litwie. Chcąc piękności tego ustępu należycie poznać i ocenić, trzeba go więcej razy słyszeć przez pełniejszą orkiestrę wykonanym. Z podniesieniem zasłony widzimy krajobraz zimowy. W głębi zamarzłe jezioro. Na prawo bok jeden katedry z drzewami. Na lewo bliżej widzów wieża, w której Aldona. Wieśniaczki idące do kościoła śpiewają chór „Święta Maryo", lecz posłyszawszy głos Aldony zatrzymują się, a teraz rozpoczyna się pieśń z wieży:

Któż me westchnienia, któż me łzy policzy?
Czy już tak długie przepłakałam lata,
Czy tyle w piersiach i oczach goryczy,
Że od mych westchnień pordzewiała krata?

Śpiew ten połączony z chórem żeńskim, śpiewającym hymn nasz kościelny „Święty Boże" z towarzyszeniem organów jest niezaprzeczenie *koroną* całej opery. Podczas tego śpiewu, musi być każdy do głębi wzruszonym, profan czy muzyk z zawodu,—jest on tak śliczny, głęboki, porywający.

W następnej scenie Aldona opuszcza swą wieżę, aby wspólnie z Konradem i Halbanem ujść przed zemstą zakonu do ojczyzny, ale złowrogie „Biada" wskazuje im, że zapóźne ich postanowienie. Po ślicznym tercecie

trują się Konrad i Aldona a Halban wraca do ojczyzny, aby opiewać czyny i poświęcenie się dla ojczyzny Konrada — na tem koniec.

Zastanowiwszy się w ogólności nad całem dziełem i zważywszy jego dobre i ujemne strony, to te ostatnie wynikają głównie z wadliwości libretta, które ma za mało akcyi, istota treści opery, którą jest akt zemsty nad Krzyżakami odbywa się za kulisami, główny bohater opery Konrad nie występuje tu jako samoistny charakter, ale jest ślepem narzędziem podszeptów i planów Halbana, brak kobiet przyczynia się także wiele do monotonności; inne ujemne strony w części muzykalnej wynikają znowu z nieświadomości wszystkich warunków sceny, bo każdy utwór wygląda inaczej na papierze a inaczej przed lampami, scena wymaga osobnej rutyny, którą się z czasem nabiera, pisząc więcej dzieł dla tejże. Jednak wszystko ma wybitny charakter i piętno Żeleńskiego. Wprawdzie znajdziemy tam w każdym numerze rzeczy już bywałe, nawet „Leitmotive“ przy ukazywaniu się Halbana i Aldony, jednakże użycie i przeprowadzenie onych, jest zupełnie inne, jak u Wagnera. Weźmy marsz uroczysty w II. akcie, sytuacya przypomina nam Proroka Meyerbera, ale tylko sytuacya, bo pod względem muzykalnym niema ani porównania na korzyść Majerbera.

Co się tyczy wykonania tej opery wyłącznie przez siły operetkowe, możemy tylko powiedzieć, że wszyscy robili co tylko mogli, na co im tylko sił starczyło; że te siły jednak były niedostateczne wobec tak kolosalnego dzieła, to każdy pojmie. Najlepiej trzymała się orkiestra (muzyki wojskowej na scenie nie było, o niej jako też o balecie, którego także nie było, dowiadujemy się tylko z książeczki librettowej) pod dzielną dyrekcyą Henryka Jareckiego. Pani Arklowa, wielce tu lubiana i ceniona artystka byłaby wcale nie złą śpiewaczką do partyj dramatycznych, gdyby tak strasznie nie tremolowała. Pod tym względem dobrali się wszyscy soliści, tak, że tremolując wszyscy przez cały wieczór robili swym śpiewem ujemne wrażenie.

Sprawozdanie nasze kończymy szczerem życzeniem, aby opera Konrad Wallenrod jak najrychlej na większych scenach przedstawioną została, a równie serdecznego i ciepłego przyjęcia jak we Lwowie doznała u obcych, oraz powtarzamy prośbę do autora, aby pierwotną „Alpuharę“ wcielił w numera opery.

D. W. B.

Kalejdoskop warszawski.

III.

Obawa korespondenta. Utarczki. W obronie... Chińczyków. Fortuna. Premia gazeciarskie. Proponowana wystawa. Teatr. Pretensye p. Nemo do p. Modrzejewskiej.

Doprawdy, obawiam się, abym z korespondenta nie wyszedł czasem na sprawozdawcę i to wojennego. A wszystko się składa, aby spokojnemu człowiekowi, co Bogu ducha winien (no, i rozmaitym majstrom pieniądze) narzucić ten tytuł, kazać się wynieść ze skromnego pokoiku pod strychem („na kanonii, w bliskości nieba“) i dawszy w rękę lunetę i papieru arkusz, stylem bohaterskim opiewać lechickie wojny. Aż mi skóra drży na chudych kościach na myśl podobnej misyi. Narażać własne życie, nie będąc ubezpieczonym, to nadto ryzykowne!.. Więc też tylko półgłosem i w sekrecie niemal odważam się na skonstatowanie, że byłem świadkiem jak dwóch najzdolniejszych feljetonistów wymyślało sobie w dość nieparlamentarny sposób, jak jeden z nich radził drugiemu powrót do tygodniowych kronik, zamiast błądzenia po manowcach estetycznych, drugi zaś pierwszemu sypnął w oczy całym gradem cytat z najrozmaitszych autorów, którzy pospołu mieli przekonać przeciwnika o słuszności sprawy. I kto wie jak by się zakończył ten spór, gdyby nie zatrąbiono do nowego ataku na sąd konkursowy. I to echo wojenne przebrzmiało w nawale spraw bieżących, gdy jeszcze p. Witkiewicz zaalarmował publiczność czytającą, stojąc na forpocztach artystycznych w „Wędrowcu,“ zamienionemu na kilka tygodni w istotną łaźnię, dzięki temu energicznemu malarzowi, który równie silnie piórem włada, jak ołówkiem. Czyż więc nie miałem racyi, że u nas wszystko na stopie wojennej?..

P. Witkiewicz, z rzadkim animuszem i rycerską ochotą podsunął swe krytyczne mitraljezy pod niedostępne gmachy powag ustalonych, ziejąc piekielnym ogniem argumentów na cały pluton naszego regimentu krytyków malarskich. Jak dotąd odpowiedziano... milczeniem w znacznej części; jeden bowiem Dr. Struve w „Kłosach“ broni zagrożonej pozycyi, reszta ostrzy pewnie pióra i niebawem p. Witkiewicz znajdzie się w położeniu Soplicy. Ja tam niemam pretensyi do znawstwa w dziedzinie sztuki malarskiej, nie wiem ile nasi sprawozdawcy w tym kierunku popełnili błędów, ale zaznaczywszy że w całej tej wycieczce radbym widzieć więcej spokoju i godności, zapytuję pokornie czy *tylko* malarstwo jest po macoszemu u nas traktowane? Mojem zdaniem równą niełaską cieszy się literatura. Dlaczego? Odpowiedź trudna.

Mamy pism pod poddostatkiem, narzekamy nawet na ich wzrost a jednak gdy idzie o wydanie sądu o jakiejś książce, czekać ona musi długo, aż jakiś tygodnik w kilkowierszowej wzmiance zwróci uwagę na jej pojawienie się. Gdyby nie kilka poważniejszych pism, które starannie prowadzą rubryki sprawozdawcze, nie miałaby publiczność pojęcia, co się dzieje w piśmiennictwie. Prawda, ale jakże można uszczuplać miejsca na rady Bismarkowi dawane, na rozpatrywanie losów Chin i opisywanie plotek miejskich. To byłoby ze szkodą dla ogółu. Pan Bokoróbski z Wielkiej Biedy nie wiedziałby czy książe żelazny postąpił według rad naszych politykomanów, a mógłby wiedzieć, że jest nowe dzieło ekonomiczne lub literackie! I później dziwimy się, gdy mało kto kupuje książki, narzekamy na nierozwinięcie się czytelnictwa, zapominając, że trzeba do tego zachęcić ten sam ogół, na który się narzeka. Najwidoczniej jednak jedyną winą tego jest nadto poważny ton naszych rozpraw (tych, których nie mamy); tak przynajmniej pewnie myśli redakcya „Fortuny“, która obiecuje nam od 1 kwietnia, raz na miesiąc podawać wszelką strawę duchową w formie feljetonowej. Może to lekkie podawanie poważnych rzeczy przyzwyczai ogół do spożywania posilnych pokarmów. Oby ta „Fortuna“ cieszyła się nietylko uśmiechem swej mitologicznej imienniczki ale, ale też i... prenumeratorów, o których podobno u nas co raz trudniej, tak, że wydawcy prześcigają się w pomysłach obietnic i nie przesądzam czy *„Bluszcz“* nie przeznaczy dla całorocznych abonamentów... posażnej panny, a *Rola* usmażonego żyda, kto to wie? Ja sam zaprenumerowałbym *Słowo*, gdyby obiecało mi pokazać tak czarnego „warchoła“ jak przedstawiło niezadowolonych z wyroku *jury*. Przez wdzięczność zaprosiłbym nawet organ „mitygantów“ (mam nowy wyraz) na wystawę kucharską. Większość naszej publiczności odbywała tam pielgrzymkę, smakosze mówili, że *Belle-vue* teraz dopiero odpowiedziało godnie swej nazwie, p. Ćwierciakiewiczowa była w swoim żywiole — uczyła bowiem ludzkość gotowania się i na kilka dni zrobiliśmy ustępstwo nawet... Chińczykom. Gdybym jednak miał prawo głosu, poradziłbym inną wystawę i inne starał się wynaleźć przepisy gotowania. Nie sztuka pokazać co my jadamy, co mamy najlepszego (kuchnię, kobiety i niezgodę) ale odwrotną stronę medalu okazać i pokazawszy pokarm naszych robotników, powiedzieć: temi produktami karmi się człowiek pracy. Ręczę, że niejeden by się zawahał co począć z takiem jadłem. Mając pełną spiżarnię, łatwiej jakoś poradzić z przepisami, co jednak ma robić właściciel pustego garnka?..

Jakby na przekór wszystkiem co mówią o biedzie, urządzono tę wystawę w czasie ogólnego zastoju w handlu i rolnictwie, w porze chóralnych narzekań na niedostatek.

Radbym odbiedz od tych smutnych zamyślań i donieść wam co weselszego, cóż, kiedy trudno nastroić arfę na ton pogodniejszy. Czemuż nie mogę ją na eolską zamienić i kazać nucić radosne pienia...

Arfy i tony prowadzą mnie w okolice teatru, gdzie widzieliśmy komedyę Laubego „Kato niezłomny“ a spodziewamy się ujrzeć niebawem „Friebego“ p. Zalewskiego. Komedya Laubego nie wyróżnia od swoich sióstr niemieckiego pochodzenia ani swobodnym humorem ani ruchliwą akcyą. Bohaterem sztuki jest młody człowiek, niezłomnego charakteru, skromny w obejściu aż do pruderyi, który wskutek zawikłań sercowych intryg zmuszony jest przyznać się do pewnej lekkomyślności i miłosnego szału. Sztukę wystawiono starannie. Przekładu poprawnego dokonał M. Gawalewicz. Wzmianka o teatrze przypomina mi wystąpienie „Przeglądu pedagogicznego“ (ma to wspólnego z waszem pismem, że nieregularnie wychodzi) przeciw p. Modrzejewskiej, jako propagatorce niemoralności za pośrednictwem sztuk nowoczesnego repertuaru. Nie jest to nic nowego, a tylko poruszenie omawianej wielokrotnie kwestyi, czy teatr jest dla pensyonarek, czy też dla ludzi, niebojących się zgorszenia ze sceny, dziwimy się tylko, że p. *Nemo*, autor artykułu w sprawę tę wmięszał p. Modrzejewską, skoro nie jest ona ani pierwszą, ani ostatnią (tylko genialniejszą) artystką, która przedstawia: Adrianny, Damy kameliowe, Dalile itp... Kończę, obawiając się, abym z korespondenta nie wyszedł na polemistę...

J. K.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Literackie i naukowe.

— **Hajota** (H. J. Boguska) uzdolniona nowelistka ukończyła w „Kur. warsz.“ druk „Pamiętników krótkowidza“.

— **Katedrę lit. słowiańskich** zajmowaną niegdyś przez Mickiewicza i Chodźkę w College de France objąć ma niebawem p. Leger, dość mało znany ze swoich prac, uczony francuzki, a nieżyczliwie dla nas usposobiony.

— **Bol. Prus** rozpoczął w Wędrowcu obszerniejszą powieść p. t. „Placówka“.

— **Wł. Okoński** ogłosi niebawem w „Prawdzie“ swój pięcioaktowy dramat: „Aspazya“. Przedmiotem sztuki jest zatarg Peryklesa z Ateńczykami o prawo przebywania Aspazyi w Atenach, która jako „hetera“ z Miletu nie-

przyjaźnie tam widzianą była. Akt ostatni zawrze mową obrończą Peryklesa, która w języku Okońskiego brzmieć będzie niewątpliwą siłą.

M. Gawalewicz drukuje w „Tyg. Powsz. swoją jednoaktową komedyą „Dzisiejsi.“ O ile można sądzić z początku jest to bluetka, zalecająca się wytwornym stylem i znajomością serca kobiecego. Tenże autor w „Młokosie“, nowelli, której druk ukończyła „Gaz. Polska“ rozwinął znaczny zasób poezyi i trafnej obserwacyi.

— **Ogniem i mieczem**, powieść Sienkiewicza przetłumaczoną została na język rosyjski. Również i „Potop“ już się ukazał w przekładzie.

— **Uskoki** T. T. Jeża przetłumaczono na język nowo-grecki.

— **Kasa pożyczkowa** dla artystów sceny krak. już funkcyonuje. Administracyą stanowią p. p. Frenkiel, Glikson i Rygier.

— **Denise**, sensacyjny dramat A. Dumasa znalazł trzech tłumaczy na język polski; są niemi pp. Gawalewicz, Sarnecki i Zieliński (Arwin).

— **J. K. Gregorowicz**, długoletni i zasłużony redaktor „Przyjaciela Dzieci“ obchodzić będzie niebawem dwudziestopięciolecie swej użytecznej działalności pisarskiej.

— **Kapitan Fracasse**, powieść T. Gauthier drukowana przed dwoma laty w „Słowie“ znalazła chętnego nabywcę do przedrukowania w lwowskim „Przeglądzie“.

— **Odczyt ks. Pawlickiego** o „Pierścieniu N. M. P.“ nie zgromadził licznej publiczności. Ci, którzy przyszli, dowiedzieli się, iż pierścień ślubny N. M. P, był przedmiotem długiego sporu między dwoma miasteczkami Peruggią i Ciusi, dobijającemi się posiadania, w celach eksploatacyi tej pamiątki w czasie odpustów, że głównym sprawcą nieporozumień był pewien Franciszkanin, który ów pierścień skradł, mszcząc się na swoich współzakonnikach, że wreszcie pamiątka ta złożona w osobnym gmachu pociągnęła za sobą upiększenie swego schronienia przez Rafaela i że wreszcie... mało jest danych, potwierdzających autentyczność pierścienia. Całość odczytu nosiła cechę poufnej pogawędki, nigdy jednak poważniejszego traktatu.

— **Tragedya myśli** poemat dramatyczny p. Alfreda Nossiga opuścił prasę nakładem Ludwika Czarneckiego we Lwowie i skonfiskowany został.

— **Kurjer Świąteczny** zaczął wychodzić w Krakowie.

— **Zygmunt Sarnecki** napisał nową powieść „Złote serce,“ podamy o niej obszerniejszą wzmiankę.

— **Kłosy** podają ciekawe szczegóły odnoszące się do dziejów teatru polskiego, które kreśli p. Heppen, na podstawie nieogłoszonych drukiem dokumentów; w temże piśmie drukują powieść nieodżałowanej pamięci St. Grudzińskiego „Życie artysty“.

— **Jan Zacharjasiewicz** ukończył 30 lat swej pracy na polu piśmienniczem.

— **Wiadomości bibliograficzne** warszawskie, zaprowadziwszy w sposobie redagowania tego pisma korzystne zmiany i wydawszy zaległe numera, obecnie w nowej szacie przedstawiają się z pewnem urozmaiceniem. Po za obfitą kroniką znajdujemy interesującą bibliografię czasopism wileńskich z lat 1805 do 1870 przez Dra Szeligę, opis rękopisów Wacława Potockiego, dokonany przez Dra H. Biegeleisena, ciekawe wiadomości z literatury czeskiej przez zamiłowanego w tym przedmiocie p. Przesmyckiego (Miriama) zebrane. Wielka szkoda, że redakcya „Wiadomości“ zaniechała prowadzenia nadal bibliogr. czasopism. Przy umiejętnem zbieraniu tego materyału, można by oddać usługę szperaczom pojedyńczych artykułów.

— **Jurek**, powieść społeczna p. Wandy z Dowgiałłów Trzcińskiej ukaże się niebawem na półkach księgarskich. Znając ją z rękopisu, przyznać musimy, iż obok szlachetnej tendencyi zawiera wiele podniosłych myśli; forma realistyczna, zbliżająca utwór p. T. do powieści szkoły francuskiej, wróży jej powodzenie. Zastrzegamy sobie szersze uwagi na tę nową siłę naszego powieściopisarstwa.

— **Dziennik dla wszytkich**, dwutygodnik lwowski zmienia tytuł na **Gońca świątecznego**.

— **Konserwatyści warszawscy** jest tytuł obszerniejszej pracy, którą wykończy p. Adolf Dygasiński na zamówienie „Spółki nakładowej.“ Będzie to więc poniekąd uzupełnienie artykułów p. Choińskiego w „Niwie“ o „pozytywizmie warsz.“

Z dziedziny malarstwa, muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

— **W sprawie pomnikowej.** *Kłosy* podały w jednym z ostatnich numerów kopje projektów pomnikowych bez zachowania skali, wskutek czego pomniki bardziej monumentalne straciły w oczach nieznających ich widzów. Nadto pominięciem dwóch przez *vox populi* wyróżnianych projektów pp. Gadomskiego i Marcinkowskiego nie dały *Kłosy* dokładnego pojęcia swoim czytelnikom o istotnym stanie wystawy projektów.

— **Śmierć Wajdeloty**, rzeźba p. Lewandowskiego wystawiona w wiedeńskim *Künstlerhausie* budzi znaczne zainteresowanie.

— **Wyrok jury.** Jako uzupełnienie opinij prasy naszej o wyroku jury podajemy głos *Kraju*. „Dzienniki galicyjskie przyniosły nam nareszcie urzędowe sprawozdanie z narad sądu konkursowego nad projektami pomnika dla Mickiewicza. Tym razem mamy jak na dłoni wykazany powód, dla którego opinja publiczna tak niepomiernie zdziwioną i zaniepokojoną została rozwiązaniem sprawy. Rozwiązanie to wypadło jak najgorzej, bo takiem, nie innem wypaść musiało na mocy samego założenia konkursu i procederu, przyjętego przy oglądaniu projektów nadesłanych i rozstrzyganiu pytania, któremu z nich przyznać pierwszeństwo. Zarówno nad głowami rozpisujących konkurs, jak i nad głowami sędziów zawieszony został złowrogi pewnik, że za 100,000 guldenów stanąć może pomnik pojęty, w rozmiarach i warunkach jak najskromniejszych. Wywołano też tym sposobem istne współzawodnictwo o suchość, błahość i skąpstwo pomysłów. Zwyciężyli oczywiście ci, co się najskrupulatniej utrzymać zdołali w ramkach chudego szematu, zamkniętego w karbach stutysięcznej perspektywy kosztów ogólnych.

„Wieje z przebiegu dyskusyi taki ścinający chłód motywów, taka upokarzająca obawa o dziesięć groszy ekspensu powyżej kosztorysu, takie dotkliwe, oburzające prawie oglądanie się na wątłość ofiarnych usposobień narodu, że bierze ochota ogłosić konkurs wręcz za niebyły, dyskusyą zaś całą spopularyzować plakatami po wszystkich kasach oszczędności — i przedsionkach wszystkich rulet i domów zabawy Europy zachodniej, kędy rok rocznie więzną setki tysięcy rubli i guldenów podrujnowanego naszego możnowładztwa.“

— **Pan Fillipi Myszuga**, tenor sceny warsz. w przejeździe z Wiednia, gdzie występował w operze dał się słyszeć dwukrotnie u nas na estradzie koncertowej; wrażenie jakie odnieśliśmy z tych popisów każe nam widzieć w p. Myszudze posiadacza głosu wprawdzie nie szerokiej skali, ale przyjemnego dźwięku, a poprawne frazowanie i umiejętna deklamacya ujawniająca się w śpiewanych *recitativach* i aryach z kilku oper zalecają tego tenora lirycznego. Ponieważ p. M. dochód z koncertów przeznaczył na cele filantropijne, przeto obdarowane instytucye poczuwały się do wdzięczności, spłaconej wręczeniem wieńców i upominków.

Oba koncerty urozmaicone były deklamacyą. W pierwszym wypełniła tę część programu pn. Barszczewska, wypowiadając „Wolnego najmitę“, Konopnickiej, w drugim pn. Pysznik „Śmieszkę“ Gawalewicza.

— **N. Reforma i Dziennik polski** podają wiadomość, że trupa dramatyczna naszego teatru ma zamiar udać się na sezon letni do Wiednia, odstępując w zamian teatr krakowski towarzystwu operetkowemu ze stolicy. Nie mając wiele do zarzucenia projektowi pierwszemu, oświadczamy się stanowczo przeciw drugiemu.

— **Tow. muzyczne krakowskie** uczciło pamięć Kurpińskiego przez wykonanie na jednym z wieczorów utworów jego i odczytanie o jego twórczości artykułu.. drukowanego poprzednio.

— **Z Warszawy** odbieramy już po wydrukowaniu korespondencyi wiadomość, iż rządowa dyrekcya teatrów zamierza zwinąć operę, jako przeciążającą budżet wydatków; arcyniemiła ta nowina wydaje nam się wszelako tylko pogłoską, w której prawdą być może usunięcie baletu, nigdy jednak opery. Z tą poprawką, witamy wiadomość życzliwie.

— **Trupa rosyjska** ma dać szereg przedstawień w Warszawie.

— **Koncert.** Międzyaktowa, muzyczna część wieczoru (8 Kwietnia) była właściwym wabikiem publiczności do teatru, zawierała bowiem dwa fragmenta z wyczekiwanej tu opery Żeleńskiego. Znakomity kompozytor, który osobiście usiłował zastąpić orkiestrę akompaniamentem fortepianu, jak też i lwowscy śpiewacy — p. Arklowa i Jeronim przyjęci byli gorącymi objawami sympatyi. Wykonano przez nich wyjątki z Wallenroda (arya Aldony z aktu 4-go i arya Halbana z aktu 1-go) odznaczają się wykwintną fakturą.

W p. Arklowej, która prócz aryi Aldony odśpiewała wołającą o pomstę do nieba transkrypcyę nokturnu Chopina i Mazurek z „Ducha Wojewody,“ poznaliśmy uzdolnioną śpiewaczkę o głosie zupełnie świeżym i dlatego może jeszcze trochę twardym i jaskrawym: chwalebna dobitność intonacyi i frazowania, zbytnia swoboda oddechu i wykluczenie wszelkiego portomento każą nam się domyślać niewielkiej metody. Dykcya niewyraźna, poczucie artystyczne i staranność widoczna. P. Jeronim posiada niski baryton, bezsilny i bezbarwny; śpiewał zresztą bez zarzutu aryę Halbana (w miejsce zapowiedzianej ballady) i aryę z Don Carlosa, Verdiego (w miejsce zapowiedzianych Czatów Moniuszki).

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Wł. Zam. w Krakowie. Tak jest, łaskawy panie „Kur. Codz.“ w Warszawie przedrukował kronikę z naszego *Przeglądu*, nie uznając za stosowne zacytować źródła. Tak się u nas dzieje.....

Sprostowanie.

W recenzyi z „*Konrada Wallenroda*“ wkradły się następujące pomyłki: Strona 18, wiersz 7 od dołu czytaj *polifonicznie*, wiersz 6 od dołu czytaj na *Waltorni*; str. 19 szpalta 1-sza, wiersz 10 od góry czytaj z *Mniszką na czele*, wiersz 18 od góry po słowach „recytuje swoją kwetyę“ brakuje: „*lecz wszystkie ensemble są tak kontrapunktycznie przeprowadzone, że zachowuje swój odrębny charakter*“, w wierszu 16 od dołu słowo *gry* niepotrzebne, w wierszu 10 od dołu brakuje po słowie „arcykomturem“ „*Halbanem*“. Po wierszu 7 od dołu brakuje: „*Ten kwartet stanowi jeden z najcenniejszych i najpiękniejszych numerów opery*“.

Autorzy i wydawcy, pragnący wzmianki o swoich pracach i nakładach w „Przeglądzie lit. art.“ zechcą takowe nadsyłać pod adresem redakcyi:
Ulica Sławkowska, hotel Saski.

TREŚĆ Nru 5-go i 6-go: Mój pierwszy występ literacki (ramotka) przez Michała Bałuckiego. Z niedrukowanych poezyj Mieczysława Romanowskiego. Henryk Heine, portret literacki przez Teodora Jeske-Choińskiego (dokończenie). Bal maskowy, z dziennika młodej mężatki przez Ernesta Ecksteina (dokończenie). Ze Lwowa przez S. M. Nieznany poemat filozoficzny Jul. Słowackiego p. t. Teogonia, przedstawił J. H. Rychter. Kronika przez K. B. Przegląd literacki przez E. R. Przegląd artystyczny: Z teatru przez Nemo, Konrad Wallenrod, opera Wł. Żeleńskiego (dokończeuie). Kalejdoskop warszawski przez J. K. Drobne wiadomości literackie i artystyczne.